№ 9 Warszawa, dnia 20 Lutego (4 Marca) 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

WYCIECZKA DO ŹRÓDŁA BIR-EL-EIU W EGIPCIE.

Przez

Stefana Marusieńskiego.

(Dokończenie.)

Olbrzymia grota służyła nam za namiot, wyciągnięci na miękim piasku wypoczywaliśmy podczas gdy Arabowie niecili ogień dla ugotowania kawy. Anglik zajął się natychmiast wydobywaniem zapasów podróżnych, w czem mu R. (nasz zmęczony towarzysz) nader ochotnie dopomagał. Parę kuropatw pieczonych i indyk, ćwiartka barania i kilka butelek wina, stanowiły cały nasz obiad, po spożyciu którego rzucaliśmy jeszcze pożądliwe spojrzenia na kosz w którym reszta prowiantu się znajdowała. Całonocna bowiem jazda i świeże powietrze pustyni zaostrzyły bardzo nasz apetyt; lecz najmniej głodny z nas, biorąc przykład z Arabów zadawalniających się garstką suchych daktyli i kawałkiem chleba, zamknął koszyk i klucz do kieszeni schował. Z westchnieniem odwróciliśmy oczy od zakazanego kosza i rozpoczęli rozmowę, którą jednak przerwał Beduin mówiąc iż trzeba będzie opatrzeć stanowiska na jutrzejsze polowanie.

Opuściliśmy więc grotę i postępowali za przewodnikiem, który rozglądając uważnie ślady na ziemi tak do siebie półgłosem mówił:

— Tak, przyjdą pić jutro, tędy, tą drogą, jest ślad świeży. Zwracając się zaś do nas dodał: gazele jutro rano tędy przechodzić będą, owa ścieżka która z pustyni w dolinę prowadzi, jest ich zwyczajną drogą, wybierajcie zatem wasze miejsca.

Mój posterunek wypadł na północ od groty, na małej płaszczyźnie, gdzie pod skałą doskonale ukryty byłem. Trzej towarzysze zajęli inne punkta, tak że stanowiska nasze prawie regularny czworobok tworzyły. Najbliżej ode mnie po drugiej stronie ścieżki stał B. a naprzeciwko zajmował miejsce Anglik. Rozglądnąwszy się jeszcze raz po okolicy i notując w myśli nasze stanowiska, powróciliśmy do groty dla przygotowania nabojów. Zajęcie ukończone, każdy z nas udał się na spoczynek, którego po całodziennej utrudzającej podróży bardzo nam było potrzeba.

Już było dobrze po północy, gdy nas przewodnik zbudził mówiąc, iż czas na polowanie. Pochwyciwszy tedy za strzelby opuściliśmy w milczeniu grotę i niedługo potem każdy z nas był na miejscu poprzednio wyznaczonem.

Wsparty o skałę z ręką na cynglu i oczami zwróconemi na ścieżkę, którędy gazele przechodzić miały, stałem tak może z dobrą godzinę, gdy wtem posłyszawszy szelest po za sobą odwróciłem się i ujrzałem hyenę zbliżającą się ku mnie. Księżyc świecił przepysznie, mogłem się więc jej dobrze przypatrzeć; wielkości dużego wilka, szła ze spuszczonym łbem zatrzymując się co chwila i rozglądając dookoła jak gdyby przeczuwała niebezpieczeństwo. Najeżona sierć na grzbiecie i niespokojne ruchy wskazywały, iż zwietrzyła już mą obecność, jakoż zbliżywszy się na kilkanaście kroków zaledwie, stanęła podniósłszy łeb do góry i nastawiła uszy; już przyłożyłem się do strzelby aby ją kulą powitać, lecz rozważywszy, że tym strzałem całe polowanie popsuć mogę, wolałem nagłym ruchem przestraszyć hyenę, która w istocie natychmiast uciekać poczęła robiąc olbrzymie skoki ze skały na skałę.

Powróciwszy na miejsce wyczekiwałem z niecierpliwością wschodu słońca, bo od długiego stania bez ruchu na jednem i tem samem miejscu, nogi mi już drętwić poczynały.

Wreszcie gdy ze zgaśnięciem ostatnich gwiazd, niebo na wschodzie purpurą się oblekło, usłyszałem w oddali tentent jakby tabunu dzikich koni; i wkrótce potem stado gazeli i antylop wbiegło na ścieżkę kierując się ku źródłu.

Wziąwszy na cel przepysznego rogacza antylopy, dałem ognia i w tejże samej chwili trzy inne strzały się odezwały. Gdy się dym nieco rozszedł ujrzałem rozpierzchłe stado zdążające ku pustyni w różnych kierunkach oraz Angllka biegnącego za zranioną gazelą, która tuż obok mego stanowiska na wysoką skałę wydostać się usiłowała.

Równocześnie odezwało się kilka wystrzałów, a kule świszcząc przelatywały mi koło uszów. Mimowoli schyliwszy głowę opuszczam niebezpieczne stanowisko, gdy nagle pada strzał od strony p. B. i w tejże samej chwili uczułem ból w prawem ramieniu. Strzelba wypadła mi z ręki i nie mając więcej siły uchwycenia skały, runąłem w przepaść; zaćmiło mi się w oczach i na chwilę straciłem przytomność...

Przyszedłszy do siebie ujrzałem się między głazami i kamieniami na dnie wyschłego potoku u stóp skały, która nademną na kilkanaście metrów sterczała.

Jakim sposobem spadając z tak znacznej wysokości życia nie postradałem, jest to do dzisiaj jeszcze zagadką; pojąłem tylko, że szczególna łaska Boga ocaliła mnie!

Po chwili nadbiegł B. zapytując co mi się stało?

— Kula twoja mnie trafiła, ddrzekłem.

— Gdzie, jakim sposobem? To niepodobieństwo!

Wskazałem na prawą rękę, z której krew obficie płynęła, po rozcięciu zaś rękawa okazało się iż kość łokciowa była strzaskaną, a kula tkwiła jeszcze w ciele.

— Co robić na Boga! wykrzyknął mój towarzysz.

— Dobądź prędko nożna i wyjmij kulę odpowiedziałem.

Opuszczę opis całej tej bolesnej operacyi, dość, że nim inni towarzysze nadbiegli, cała historya była ukończoną.

Pierwszy przybył Anglik i dowiedziawszy się o wypadku wykrzyknął:

— Ja zawiniłem nie zabiwszy gazeli na miejscu!

— Nie to moja nieroztropność była przyczyną nieszczęścia, strzeliłem bowiem wprost na stanowisko drugiego, odparł B.

Anglik jednak nie dał za wygranę przedstawiając, iż gdyby był zabił gazelę, polowanie wzięłoby inny obrót.

Od słowa do słowa, poczęli się w najlepsze sprzeczać, każdy z nich bowiem chciał całą odpowiedzialność wziąć na siebie i byliby się może na prawdę poswarzyli, gdybym zniecierpliwiony bólem i niewygodną pozycyą między kamieniami nie był zawołał:

— Dziękuję bardzo za waszą szlachetność, lecz dla Boga pomóżcie mi pierwej powstać a następnie sprzeczajcie się, ile wam się tylko podoba.

Przepraszając za roztargnienie, podnieśli mnie, i wsparty na ramieniu p. B. przybyłem do groty, zkąd po włożeniu ubitej zwierzyny na wielbłądy, rozpoczęliśmy odwrót.

Wąwozem jednak nie sposób było powracać, dlatego za radą przewodnika obraliśmy drogę przez pustynię.

Upływ krwi osłabił mnie bardzo, a ogromne gorąco i nieopatrzona rana nieznośnie mi dokuczały. Do tego rozgrzane powietrze przedstawiało co chwila nowe fata morgana (*), tu wielkie jezioro w którego błękitnych falach powiewne palmy się przeglądały, ówdzie mała oaza z cienistemi ogrody i małym strumykiem a wszystko tak dokładnie i łudząco podobne, że pomimo pewności iż za zbliżeniem nagie głazy i piaski tylko tamże zastanę, oddawałem się płonnej nadziei znalezienia odrobiny chłodu i cienia dla wypoczynku.

Po całodziennym marszu,—konno bowiem jechać nie mogłem, przybyliśmy już późno wieczorem do małego duaru czyli wioski arabskiej, gdzie noc w braku innego miejsca w starym opuszczonym grobowcu szecha przepędzić byliśmy zmuszeni. Pomimo znużenia ból tak mi dokuczał, że ani na chwilę oka zmrużyć nie mogłem, w końcu jakby na dobitkę, powstał ogromny samun—wiatr z pustyni—a tumany piasku i kurzu wpadając przez otwory w ścianach, gasiły co chwila ognisko. W ponurem milczeniu, które niekiedy tylko wycie dzikiego zwierza przerywało, przesiedzieliśmy noc całą, która mi się długa jak wieczność zdawała.

Z prawdziwą radością powitałem brzask dzienny i nie zważając więcej na ból, dosiadłszy konia, w kilka godzin przybyłem do willi pp. B., gdzie żona mego towarzysza z cierpliwością i zręcznością właściwą kobietom, ranę mą opatrzyła.

Jej to staraniu i opiece zawdzięczam jedynie odzyskane zdrowie, bo tutaj w Górnym Egipcie, gdzie lekarze nie egzystują, mojemu podobny wypadek łatwo życiem opłacić można.

(*) Po arabsku „morze diabła” (bahr-el-szytau)., jest powszechnem zjawiskiem tutaj; nietylko w pustyni lecz nawet w dolinie Nilu nader często widywałem takowe.

Do Janiny N***

Znowu jeden rok stary w mogiłę uchodzi,
Jeszcze jeden w otchłani dni zbiegłych przepada,
A ten co się z godziną północy narodzi,
Jakimże do serc naszych językiem zagada?

W świecie wiary przemawiać zwykł słowem nadziei,
W świecie złudy, barwami utkanemi z tęczy,
W zwątpieniu przeczuciem losowych zawiei,
W szczęściu zaś melodyami słowiczemi dźwięczy.

Ja rzucam wszystko społem, w krąg lecę światłości,
Słuchać mowy aniołów, podsłuchać ich nutę,
I przynieść dla cię echo niebiańskiej miłości...
Widzę, słyszę... tam wszystko miłością osnute,
Głosi „kochajmy wieczność” bo z kwiatów miłości,
Jest całe szczęście wieków, dni i lat odczute.

Lutnista.

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Działalność rozumu objawia się u dzieci dosyć wcześnie, nietylko w kombinowaniu i rozwadze, ale także i duchem krytyki. Wiadomo, że krytyka dzieci bywa często trafną, bystrą i przenikliwą. Są jednak rzeczy, na które umysł dziecinny, do pewnego wieku, nie zwraca żadnej uwagi i ani ich krytykować, ani dociekać ich znaczenia nie ma wcale ochoty. Musi to być jakieś mądre i podziwienia godne urządzenie natury. Tak np. przy nauce katechizmu i historyi świętej, dziecko nie dostrzega żadnych trudności w pojęciu Trójcy św., nie jest ciekawe zbadać dokładnie szóstego przykazania, historyą Józefa i Putyfarowej przyjmuje obojętnie, a przez grzech nieczystości rozumie poprostu zaniedbanie codziennego umywania się i nie uważa za potrzebne zasięgać objaśnień pod tym względem. Przytoczyłem umyślnie przykład dogmatu o Trójcy Św. dlatego, że nieprzyjaciele religii od czasów najdawniejszych uważają za potrzebne wypowiadać swe oburzenie z powodu, że dzieci od niemowlęctwa prawie uczą, że „trzy jest to samo co jeden”, a taka nauka rzekomo przynosi niopowetowaną szkodę logice dziecinnej, zdrowemu sądowi i t. p. Otóż mniemam, że szkody nie masz żadnej, gdyż dziecko do pewnego wieku nie jest *zdolne* do zaciekania się krytycznego w tym kierunku; następnie, jeśli było chowane religijnie, powiada sobie, że zaciekać się *niewolno* i zakaz ten szanuje; później nareszcie poprzestaje z łatwością na przekonaniu, że zaciekać się byłoby rzeczą *daremną*.

Jednakże — skoro już mowa o katechizmie — są tam rzeczy, które nie powinny być podawane dzieciom bez należytego wyjaśnienia, gdyż mogą odrazu wzbudzić w umyśle młodocianym wątpliwość i nawet coś nakształt szyderstwa. Tak np. pamiętam, że gdy nauczyciel nie objaśnił nam należycie, co znaczy wyrażenie katechizmu o obecności Boga *na każdem miejscu*, chodziliśmy z bratem po wszystkich kątach, zaglądaliśmy pod łóżka i za szafy, ażeby znaleźć Boga. Umysł dziecinny zwrócił uwagę na to określenie, chociaż pominął dogmat Trójcy Św., co właśnie, zdaniem mojem, pokazuje, że o ile ostatnia kwestya była dlań nieprzystępną, o tyle pierwsza była dostępną, lecz wymagała dokładnego wytłomaczenia wszechobecności bozkiej.

Umysł młodociany swą krytyką zaprotestował wybitnie przeciwko nieudzieleniu mu należytych wyjaśnień, a zwróceniem uwagi na tę kwestyą pokazał, że pragnąłby ją całkiem i potrafiłby zrozumieć.

* * *

W czasach mego dzieciństwa nie używano jeszcze u nas metody Freblowskiej do początkowej nauki, z zabawą połączonej; nie było jeszcze książek z obrazkami do poglądowej „nauki o rzeczach”, miejsce zaś tego wszystkiego zastępowało samo życie, które znajomości rzeczy uczyło, przy pomocy pierwszych kierowników. Do takich oprócz rodziców, należała niańka Fiedora, o której już mówiłem, a także p. Ławrynowicz.

Był to staruszek okazałego wzrostu, z zawiesistym wąsem, krótko zawsze ostrzyżony, odziany w szarą węgierkę, suto szamerowaną pętlicami i sznurami. Nazywano go staruszkiem, gdyż miał podobno wnuków, ale w postaci jego nie było żadnej oznaki zgrzybiałości, a wąsy i włosy jasno bląd nie były nawet szpakowate.

Paz Ławrynowicz nie był szlachcicem, lecz pochodził z tak zwanych „wybrańców”, to jest z wsi w okolicy Słucka, zwolnionych przez Radziwiłłów z pańszczyzny, których włościanie, osobiście całkiem prawie swobodni, mieli jedynie obowiązek służyć w milicyi nadwornej Radziwiłłowskicj, a potem, jeszcze za czasów mego dzieciństwa — w tak zwanych „myśliwcach”, którzy dawne wojsko nadworne zastąpili i o których mi jeszcze nieraz wspomnieć wypadnie.

W młodości p. Ławrynowicz, jak opowiadał, nazywał się poprostu Ławren (Wawrzyniec) i był uczniem w słynnej fabryce pasów litych w Słucku; gdy zaś takowa, wskutek ostatecznego zaniechania ubioru narodowego, została zamkniętą (co musiało nastąpić około 1820 r.), Ławren obeznał się praktycznie z felczerstwem, a nawet potrosze i z medycyną i przez lat kilka leczył dosyć szczęśliwie w Słucku i okolicy. Ztąd nabrał ogłady i wykształcenia, a czytając i ucząc się, ile zdołał, doszedł nawet do pewnego zasobu wiadomości naukowych, szczególniej z nauk przyrodzonych i z historyi krajowej. W owych czasach patentowani lekarze nie ścigali jeszcze z zawiścią lekarzy „pokątnych”, odbierających im praktykę, nie działali w imieniu krzywdzonej ludzkości, której nieuczeni lekarze sprawiają szkodę. Sądzono wtedy po prostu, że kto dobrze radzi i przynosi w chorobie ulgę, to wypada go słuchać i być mu wdzięcznym, bez względu na jego stan, papiery i patenta, a wziętość Ławrynowicza wskazywała, że miał szczęście w leczeniu, gdyż takim samouczkom tylko pomyślny skutek ich kuracyi zapewnia popularność; w przeciwnym razie, traci ją szybko i niepowrotnie. Udawały się więc zapewne po większej części kuracye Ławrynowi, który już tymczasem został panem Ławrynowiczem, przystroił się (jak sam opowiadał), zamiast długiej kapoty granatowej, we frak „tabaczkowy” ze złoconemi guzikami i „kondryktowe“ spodnie i zawiązał misternie na szyję czarną mantynową chustkę. O dalszych kolejach życia Ławrynowicza będzie jeszcze słówko poniżej; od czasu zaś, jak pamięć moja sięga, mie-

szkął on we własnym folwarczku niedaleko Klecka i Radziwilmont, a więc był naszym sąsiadem. Folwarczek był „bez chłopów”, bo tylko takie mogli posiadać ci, którzy szlachtą nie byli. Pan Ławrynowicz mieszkał tam sam podobno, ale rzadko bywał w domu: życie jego upływało w wędrówkach po dworach sąsiednich, gdzie przesiadywał nieraz całemi tygodniami, przyjmowany wszędzie życzliwie i przyjaźnie. Szlachta nietylko że nie pogardzała plebejuszem, ale każdy sadził się na pewną delikatność w obchodzeniu się z Ławrynowiczem, ażeby niczem nie dać mu poznać jego pochodzenia. O ile pamiętam, równie grzecznie i uprzedzająco postępowano zawsze z nieszlachtą która bądź to zasługami, bądź to pracą lub przypadkiem wychodziła ze swej sfery dotychczasowej i ocierała się o świat szlachecki. Buty i zarozumiałości szlacheckiej pod tym względem na Litwie wtedy prawie nie było; owszem, może dziś jeszcze gdzieniegdzie jest jej więcej, niestety, pod każdym względem mniej uzasadnionej...

Ławrynowicz nie lubił mówić o sobie i swoich przygodach; nie wspominał też o swojej rodzinie; głuche więc tylko chodziły wieści o powodach, wskutek których wyniósł się ze Słucka i o jego stosunkach familijnych. Prawiono, że dokuczył był lekarzom słuckim, jak swoją szczęśliwą praktyką, tak i tem jeszcze, że po ustaniu pierwszej cholery w Słucku, wymalował obrazek (bo i malarstwa był się gdzieś nauczył), na którym sportretował główniejszych eskulapów miasta i przedstawił ich pędzących za rydwanem opuszczającej miasto cholery, kłaniających się i proszących, ażeby jeszcze raczyła powrócić. Obrazek ten, kupiony przez jednego z okolicznych obywateli, zyskał powszechną popularność i był znany na Litwie. Opowiadano także, iż Ławrynowicz, już w wieku dojrzałym, służył nawet wojskowo, że na wojaczce poznał w jednym z towarzyszy przebraną kobietę już niepierwszej młodości, która miała już synów dorosłych, ale pomimo to zaciągnęła się do szeregów, że następnie potajemnie ożenił się z tą amazonką; że ta wkrótce umarła, a synowie jej zniknęli, jeden zaś z nich pozostawił dwoje niemowląt, które Ławrynowicz uznał za swoje wnuczęta i wychowywał w ukryciu i t. p. Widocznie w życiu tego człowieka było wiele tajemniczości, ale my dzieci ani wtedy ani później nie dowiedzieliśmy się tego szczegółowo, a i owe urywane pogłoski szeptano sobie wtedy na ucho, tajemniczo i ostrożnie, oglądając się naokoło.

Dlaczego to — nie rozumiałem wtedy.

P. Ławrynowicz był człowiekiem skromnym i cichym, mówiącym mało, ale powiadano że niebezpiecznie go było rozgniewać, gdyż wtedy wpadał w pasyą, a siłę miał posiadać olbrzymią. Niekiedy też straszono nas dzieci Ławrynowiczem, ale myśmy się go nie bali, lecz kochali. Jeżdżąc od dworu do dworu, Ławrynowicz umiał być pomocnym i pożytecznym, nietylko jako felczer i w nagłych wypadkach, jako lekarz, chociaż teraz mniej zajmował się medycyną i niezbyt chętnie dobywał swego podróżnego puzderka, w którym miał lancet, synopizmy, cytwar, magnezyą, aloes i tym podobne środki prawie domowe, które składały jego aptekę. Nadto, jak wspomniałem, Ławrynowicz umiał rysować i malować — nieraz więc zrobił coś do salonu na pamiątkę i potem oprawił sam ten obrazek w ramki za szkłem w piękny kolorowy papier (najczęściej niebieski), zwany „marmurkiem”, ze złotemi lub srebrnemi szlaczkami i „narożnikami”. Oprócz tego, potrafił naprawić zepsuty zegar, zreperować sieczkarnię lub „arfę” do wiania zboża, ujeździć konia; był dobrym lektorem i sekretarzem do listów i papierów urzędowych, znał na palcach cały porządek interesów i „weryfikacyi” z administracyą Radziwiłłowską, wreszcie potrafił nawet uczyć dzieci, a raczej bawić je ucząc, gdyż lubił bardzo dzieci, właściwie zaś chłopców, bo do dziewczynek miał jakąś niechęć czyli raczej obojętność. Gdyśmy, bywało, opadli go z prośbami, aby nam co opowiedział lub pokazał, chętniej zawsze spełniał prośby chłopczyków, mało zwracając uwagi na szczebiotanie Malwinki; ażeby zaś jej tem nie obrazić, tłomaczył się, że z panienkami nie umie się bawić i nie wie, co im potrzebne. Często także p. Ławrynowicz załatwiał ważne interesa pieniężne: woził raty dzierżawne do Radziwilmont, jeździł ze zbożem do Stołpców (pierwszej przystani na Niemnie), z wołami do Wilna lub z wełną do Zelwy i Różany, przywożąc potem kupy srebrnych rubli i rulony złotych półimperyałów, w prostym białym worku płóciennym. Załatwiał także interesa pomiędzy sąsiadami i dalszem obywatelstwem, gdyż znał wszystkich nietylko w mińskiem i dawnem nowogrodzkiem, ale także w wileńskiem, witebskiem i połockiem. Pokrewieństwa, genealogie, historye fortun i folwarków, herby i koligacye — wszystko to p. Ławrynowicz, chociaż sam nieherbowy, znał dokładnie na palcach, a z wiadomości tych robił nieraz użytek, wydobywając ze swych wspomnień opowiadania bardzo zajmujące, do których może jeszcze kiedy później wrócę. Wzmiankowałem już powyżej, iż p. Ławrynowicz był oczytany w wielu naukach, a szczególniej biegłym w naukach naturalnych i historyi. W tej ostatniej Naruszewicz był dla niego ostatecznym punktem: o nowszych i późniejszych nie słyszał i słyszeć nie chciał. Miał też zawsze ze sobą dzieła tego historyka i odczytywał je ciągle „do poduszki”. Woził niekiedy ze sobą i parę kronik polskich dawnego wydania: z tych pamiętam dobrze Kronikę Gwagnina, która dla mnie, od niedawna prawie obeznanego z czytaniem, była abecadłem historyi polskiej. Malec, zaledwo mogąc udźwignąć foliant, oprawny w skórę, kładł księgę na sofie, a sam nad nią plackiem przypadłszy, rozczytywał się w dziejach książąt i królów, w opisach geograficznych, obrazach panowania srogiego Iwana, nie pomijając nieszczególnych wierszy przed dziejami każdego panowania, ani przedmów dedykacyjnych i rymów „na herby” magnatów, ani obszernego opisu koronacyi Zygmunta III z długiemi modlitwami łacińskiemi...

Z tego co powiedziałem o Ławrynowiczu, łatwo zrozumieć, że my dzieci widzieliśmy w nim uniwersalnego mędrca, człowieka, co wszystko umie i wszystko potrafi — nawet bawić się z dziećmi, chociaż niektórzy nazywali go doktorem, a „doktora” dzieci obawiają się zawsze, o tyle więcej niż cyrulika, o ile doktor był od cyrulika „wyższym”. Wielka to więc była radość dla dzieci, gdy po dłuższej nieobecności, zajeżdżał przed ganek p. Ławrynowicz, zwykle nejtyczanką którego z sąsiadów a rzadko przyjeżdżał wprost z domu na parze dzielnych bułanków. Gdy się już przywitał i nagadał, a często załatwił polecenia i interesa ze starszemi, obsiadaliśmy go my, dzieci, prosząc o nowiny, o opowiadanie lub pomoc w jakiej zabawie. Nie przychodziło zaś nam nigdy do głowy, jak innym dzieciom, prosić go o *gościńce* (pierniki, cukierki i t. d.), a i sam Ławrynowicz nigdy nam żadnych przysmaków nie przywoził, dlatego, jak mówił, żebyśmy polubili i oczekiwali jego samego, nie zaś tego, co mógł mieć w kieszeniach i dlatego także, iż w swych naukach i opowiadaniach przywoził nam gościńce lepsze od karmelków i pierników, a nawet od „makowników”, cukru lodowatego i bobu świętojańskiego. Otóż gdy p. Ławrynowicz usiadł na stronie z nami, zażywszy tabaki z tabakierki „brzostowej” z kory (taką nosił zawsze, na pamiątkę, jak twierdził, że „z chłopów pochodził”), byliśmy nad wyraz uszczęśliwieni. Jedno z nas prosiło go o zrobienie piłki twardej z „gumelastyki”, drugie — o piłkę miękką z wełny, to znowu o wystruganie „kardynałów”, vulgo „drapanosów” do gry, która zależała na tem, żeby wyciągnąć z kupki pojedyńcze przedmioty, nie poruszając reszty, a kto przegrywał pewną ilość punktów (na każdej sztuce były numera), tego „drapano po nosie” tem samem zaostrzonem piórkiem, które do gry służyło. (*) Ktoś z nas proponował, aby najpierwiej pokazać p. Ławrynowiczowi młodego zajączka, wspólną naszą własność; starsi prosili o jaką książkę do czytania; Oleś nieśmiało wzmiankował, że ma ładny obrazek na tle złotem, ale trzebaby go oprawić; Franuś skarżył się, że nie ma komu zatemperować dobrze piór (rzecz wówczas niezbyt łatwa, niektórym tylko specyalistom przystępna, gdyż nikt w domu nie posiadał prawdziwego scyzoryka „Kurczyna”, słynnego wtedy w Wilnie fabrykanta. W końcu Malwinka nieśmiało i zdaleka prosiła p. Ławrynowicza o przyobiecany wierszyk, dawniej kiedyś przez niego dzieciom wypowiedziany, w którym była mowa o dziewczynce, która zebranych dla matki kwiatów nie chciała sprzedać nawet za pięć groszy pięknych jak dukaty; „siostrzyczka moja pragnęła” wpisać ten wierszyk do swego zbiorku, który już sobie, wzorem braci i starszych panienek, sporządziła pod tytułem „Wiersze Różne”. Mieliśmy wszyscy jedno jeszcze życzenie, tajemnie i oddawna żywione, ale nikt nie śmiał go wypowiedzieć. Oprócz bowiem wielu innych umiejętności i „sztuk”, jak mawiały dzieci, p. Ławrynowicz posiadał jeden talent, zdaniem naszem, największy, najbardziej podziwienia godny i niemal cudowny, a mianowicie umiał wyrabiać z drzewa i tektury prześliczne „męki Pańskie” to jest Chrystusa na krzyżu, a obok Jana św. i Maryą Pannę, i potem to wszystko, niepojętym dla nas sposobem, ustawiał wewnątrz niewielkich zwyczajnych flaszek lub aptecznych buteleczek. Rozmaitych rozmiarów były te arcydzieła i można je było spotkać po wielu dworach okolicznych, ofiarowane przez Ławrynowicza, na imieniny pana lub pani domu. Jedna taka dość duża flaszka stała i w naszym pokoju bawialnym na komodzie, ofiarowana przez p. Ławrynowicza na imieniny naszej matce.

Myśmy oglądali i podziwiali to arcydzieło zdaleka, ale czy podobna było marzyć któremu z nas o posiadaniu na własność czegoś podobnego? Jednakże każde z nas marzyło i przy sposobności przygotowało odpowiednią flaszeczkę, rachując na jakąś wielką uroczystość, wielką łaskawość p. Ławrynowicza i wielką z naszej strony odwagę, potrzebną do wystąpienia z podobną prośbą, a odwaga ta jakoś nie przychodziła. Wątpiliśmy bowiem o skutku próśb naszych i słusznie, bo p. Ławrynowicz musiałby zadowolnić nas wszystkich, jak to zwykle czynił, ażeby nie obudzać między nami zazdrości, na to zaś potrzeba było dużo wolnego czasu, oprócz tego, tak byliśmy przyuczeni, głównie przez samego Ławrynowicza, aby żądać

(*) Gra w kardynały szczególniej używaną jest przez dzieci w Anglii.

i prosić tego tylko, czego dostąpienia byliśmy pewni.

— To dobrze, moje dzieci, mawiał Ławrynowicz (to dobrze — było to jego przysłowie), nie proście nigdy o nic takiego, co wam się nie należy, co jest zbyt trudne, albo na co nie zasługujecie, bo jak wam nie dadzą lub odmówią — ztąd tylko przykrość i dla was i dla tego, kto nie daje albo odmawia. Po co więc bez potrzeby kwasić się i robić zmartwienie?

Tą zasadą i później kierowałem się w życiu, woląc często znosić brak czegoś niż narażać się na zawód lub odmowę.

Z powodu przysłowia p. Ławrynowicza „to dobrze” krążyły różne anegdotki i zdarzały się wypadki *qui pro quo*, zwłaszcza w praktyce jego lekarskiej, pomiędzy ludźmi, którzy mało znali jego wraz z jego przysłowiem. Tak np. wzywają Ławrynowicza do kogoś ciężko chorego. Poznawszy, że choroba śmiertelna i wątpiąc, czy jej podoła, nasz lekarz samouczek zwykle nie chciał brać na siebie wyłącznej odpowiedzialności i polecał wezwać patentowanego doktora. Zapytuje więc osób pilnujących chorego:

— Czy chory co jadł?

— Nic zgoła.

— Hm, nic... to dobrze... a czy spał?

— Nie spał przez noc całą.

— Hm... to dobrze... a czy ciągle bredzi?

— Prawie ciągle.

— Hm... to dobrze... Ja tu nic radzić nie będę (nie chciał powiedzieć, że nic już poradzić nie zdoła); poślijcie dziś jeszcze po doktora Abłamowicza do Cepry albo po Kuszelewskiego do Nieświeża, a ja tu jutro wieczorem będę.

Znający przysłowie Ławrynowicza i jego dyplomacyą, czynili też zwykle, jak polecił; ale mniej go znająca i niezbyt wielką inteligencyą obdarzona szlachta zaściankowa, oficyaliści i „jednodworcy” (a tacy głównie stanowili praktykę Ławrynowicza), niezawsze będąc w możności sprowadzania doktora o mil kilka, uspokojeni przytem zapewnieniem Ławrynowicza że „to dobrze” że chory nie śpi, nie jada i bredzi, zwykle postanawiali zaczekać do jego powtornego przybycia. Tymczasem zdarzało się, że chory umierał.

Przyjeżdza nazajutrz Ławrynowicz i najpierwej zapytuje, czy był doktor „prawdziwy” (bo siebie zwykle „nieprawdziwym” mianował).

— Nie, nie był — brzmiała odpowiedź.

— Hm... nie był... to jest nie było go (Ławrynowicz był purystą pod względem języka)... to dobrze... A cóż chory?

— Umarł dziś w nocy, odpowiada ktoś z rodziny zapłakany.

— Umarł? Proszę... to dobrze... to dobrze...

Obecni z podziwieniem spoglądają na „nieprawdziwego” doktora, który cieszy się ze śmierci swego pacyenta; wprawdzie nie znają go zblizka, ale nigdy nie słyszeli, ażeby był człowiekiem tak złego serca. Ktoś ośmiela się więc wypowiedzieć w tym kierunku uwagę, przypominając że pan doktor pochwalił był także malignę, bezsenność i brak apetytu.

— Hm, to dobrze... to dobrze... odpowiadał Ławrynowicz, a wiecie wy co znaczy „to dobrze?” Tylko to, co Bóg czyni, jest zawsze „dobrze”, a to, co czynią ludzie, bywa złe, chociaż i mówi się czasem „to dobrze”...

Tak wytłomaczywszy swoje przysłowie, Ławrynowicz żegnał stroskaną rodzinę, która na drugi raz już wiedziała, że jego „to dobrze” niezawsze ma być rozumiane dosłownie.

Słyszałem potem nieraz pochwałę tego przysłowia Ławrynowicza: utrzymywano, że tak częste powtarzanie wyrazów „to dobrze”, nawet w wypadkach przeciwności, dopomaga do łatwiejszego ich znoszenia i do godzenia się z losem. Nie wiem, ile w tem prawdy, ale co do mnie, od dzieciństwa przywykłem spotykać wszelkie przeciwności w życiu (a było ich niemało), jako rzecz nieuchronną, bez zbyt wielkiego smutku, bez rozpaczy; to zaś, co mnie minęło lub czego byłem pozbawiony, przywykłem uważać za niemożliwe, niepotrzebne, albo nawet niekorzystne. Zarody tej rezygnacyi, zgadzania się z losem i niejakiego stoicyzmu, wolnego od pożądliwości, zazdrości względem innych i dziwnej jakiejś pretensyi do szczęścia, sięgają niewątpliwie czasów dzieciństwa, a zawdzięczam je pewno w części przykładowi Ławrynowicza, który swego przysłowia „to dobrze” trzymał się zawsze, nigdy nad sobą nie ubolewał, nigdy się nie skarżył, chociaż podobno niemało nieszczęść w życiu doznał.

Szczególniej pożądaną była dla nas dzieci obecność Ławrynowicza przed dwoma największemi uroczystościami do roku: przed Wielkanocą i przed Bożem Narodzeniem. W pierwszej epoce poczciwy nasz przyjaciel dopomagał w urządzeniu święconego, gdyż posiadał także sekret przyrządzania najlepszych bab (raczej „babek”, jak mówią na Litwie) i to nie w jednym, jak dziś gatunku, lecz w kilku: były bowiem babki białe i żółte szafranowe, chlebowe (szczególniej wyśmienite), czekoladowe, cytrynowe i inne. Nadewszystko zaś był mistrzem w sztuce farbowania jaj, co było nieodzownym dodatkiem święconego, a nas dzieci najwięcej obchodziło. Kierował więc farbowaniem jaj „brezylią” na przepyszny kolor różowy, szafranem — na żółto, cebulą — na czerwono; oprócz tego, umiał nadawać jajom rozmaite pstre desenie gotując je owinięte w różnokolorowe płatki; wytwarzał nawet na jajach rozmaite napisy i rysunki zarówno innemi, wiadomemi sobie sposoby, jak i przy pomocy wylepiania woskiem, po którego zdjęciu z jaj ufarbowanych i ugotowanych pokazywały się napisy i rysunki białe, prześlicznie odbijające od tła kolorowego. Bawił się potem z nami „w bitki”, które zależały na tem, że posiadacz mocniejszego jajka wygrywał te wszystkie które pobił. W tym celu przywoził nawet dla nas niekiedy jaja kur afrykańskich, odznaczające się szczególną mocą i urządzał pochyłe „łubki” (małe kręgielnie) do taczania jaj (na Litwie mówiono „kaczania”), co było także zabawą w tym samym co i „bitki” celu — potłuczenia i wygrania tym sposobem jaj przeciwników.

Na święta Bożego Narodzenia poczciwy Ławrynowicz udzielał swych rad co do przyrządzania kiełbas (tradycyjne jadło świąteczne, podobnie jak babki na Wielkanoc, a „bliny” i „oładki” na zapusty), a na wilią — „kucyi” i „syty miodowej”; nadto urządzał dla nas „gwiazdę” z różnokolorowych opłatków, która zawieszona u sufitu na wosku, obracała się ciągle, jako najprostsze *perpetuum mobile*.

(*D. c. n.*)

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

IV.
MADRYT.
I.

W ostatnich siedmiu latach, zmieniające się nieustannie w Hiszpanii rządy jakoteż ich zasady i systemata, pozostawiły wielki niepokój w umysłach, rzuciły stronnictwa na łup anarchii.

Hiszpania jest krainą ostateczności; burze są tu gwałtowne, susze niesłychane, deszcze bez miary. Tak umysły jak przyroda przebywają jakieś przesilenie. Po tylu wstrząśnieniach kraj wzdycha do zbawiennego spokoju, i dlatego to obecnie panujący monarcha, pełen dobrej woli, wolny od wszelkich uprzednich zobowiązań, a nadto, dzięki edukacyi ukończonej za granicą, przejęty pewnemi liberalno-konserwatywnemi zasadami, powitany został gorąco, prawie z uniesieniem. W przywróconej w jego osobie monarchii, kraj upatrywał rękojmię lepszej przyszłości.

Pierwsze zaraz środki przedsięwzięte przez roztropnego monarchę, powinny by zadowolnić stronnictwa umiarkowane, ale że w Hiszpanii są tylko krańcowe, zatem nie zadowolniły żadnego. Młody król znajdował się więc w nader trudnem położeniu; musiał liczyć się z nowemi ideami i przyswojonemi nawyknieniami, z gorącością progresistów, z żalami i zamiłowaniami starych konserwatystów, z niezliczonemi wymaganiami innych stronnictw, przekonanych że one tylko mogą stać się zbawcami kraju.

Po długich zamieszkach i wstrząśnieniach, potrzeba spokoju i bezpieczeństwa gwałtownie czuć się dawała; uważano więc za największe dobrodziejstwo przywrócenie monarchii obalonej przez rewolucyą, spostrzeżono jednak wkrótce, że restaurowany, choćby najinteligentniejszy monarcha, nie przedstawia zaaklimatyzowanych w społeczeństwie idei, nie zna wymagań opinii publicznej. Z tego powodu, dla rządu który nie miał jeszcze czasu zakorzenić się w kraju, wyrodziły się groźne zadania i ciężkie trudności.

A nie zapominajmy że w tej krainie płodnej w zaburzenia i wstrząśnienia, prędko bardzo wywiązują się roakcye przekraczające granice jakie powinnoby im zakreślać rzeczywiste dobro kraju. Przed parą laty jeden ze znanych dziennikarzy hiszpańskich zawołał bardzo trafnie: „W mojej nieszczęśliwej ojczyźnie, nikt nie umie słuchać, nikt nie umie rozkazywać” i domagał się aby od Pyreneów do Kadyxu, postanowiono w każdem *pueblo* katedrę zdrowego rozsądku.

Jednakże choć katedr tych nie pozakładano, zdrowy rozsądek zaczął rozwijać się wśród wszystkich klas społecznych, i w przeciągu lat kilku — przynajmniej w dążeniach swoich — Hiszpania stała się najliberalniejszym krajem w Europie. Inicyatywa indywidualna objawia się pod zbawiennemi formami; poczucie prawdziwej równości jest tu silniejsze i rzeczywistsze niż we Francyi.

Zapewnie, prawdziwa wolność, w poważnem jej zastosowaniu jest tu dość źle pojmowaną, gdyż żaden naród nie zdoła zrozumiéć jej inaczej jak przez praktykę, a Hiszpania za mało jeszcze miała czasu do uprawy i wyhodowania tej świeżo sprowadzonej rośliny, która nie zaraz kwitnie i wydaje owoc.

Nowa administracya stara się w miarę możności o moralny i intellektualny rozwój ludności. Zakładają szkoły, przywracają dawne i udoskonalają istniejące uniwersytety, starają się o dobrych nauczycieli. Jednak pomimo tych chwalebnych usiłowań, w kraju zdaje się panować coraz większe rozdwojenie — tłomaczą je najdziwniejsze systemata polityczne jakim kraj ten podlegał.

Minęły już te czasy kiedy to wielu Hiszpanów uważało za lepsze wzbogacać niezliczone klasztory niż obracać pieniądze na umoralnienie ludu i rozwój pomyślności kraju; gdy inni „przekładali awantury nad drogi i kanały" jak mówi Cherbuliez, a inni nareszcie rzucali strzelby, wołając „Porządek mnie zabija" a rabusie i złodzieje gorliwie zajęci swojem rzemiosłem, zdawali się wierzyć jak ów oszust z *Nowelli* Cerwantes'a, że można kraść i rabować, służąc zarazem wiernie królowi i Bogu. Przynajmniej w tem co odnosi się do porządku moralnego, stan społeczny odzyskał pewną równowagę, ale pod względem porządku politycznego, wiele jeszcze do zrobienia pozostaje.

Jednakże, o ile mi się zdaje, wszystkie podobne kwestye traktują tam bardzo lekko, roznamiętniają się, ale nie badają ich poważnie. Hiszpan prędko wszystko pojmuje i przyswaja sobie z wielką łatwością. Nieraz się zdarza iż jakiś deputowany do Kortezów, proszony o zabranie głosu, nazajutrz wieczorem w jakiejś obcej mu zupełnie kwestyi, rozprawiał o niej długo na posiedzeniu, a mowa jego tak była pełna faktów, cytat i trafnych poglądów, jak gdyby całe życie tym wyłącznie zajmował się przedmiotem. Dość mu było przewertować dwa lub trzy tomy napisane w tej materyi, aby ułożyć całość i wypowiedzieć ją w tym swoim dźwięcznym języku, w którym świetność wyrażeń i bogactwo frazesów mogą łatwiej niż w jakim bądź innym, dać zapomniéć o jałowości pojęć.

W pośród licznych i tragicznych przejść jakie miały miejsce w ostatnich latach, Hiszpanie okazali wyższy zmysł polityczny niż inne narody, probujące omackiem zaprowadzenia wolności. Umieli np. uchronić się od dwóch tyranii tegoczesnych, głosowania powszechnego — bez względu czy naród dorósł do niego, oraz bezgranicznej bez żadnych względów wolności prasy — której nadużyć tak łatwo. Charakter, obyczaje i przeszłość tego narodu skłaniają go do połączenia poszanowania tradycyi monarchicznej z miłością wolności i niepodległości; to też pomimo obecnego rozdwojenia stronnictw, można mu zapowiadać przyszłość wolną od tak gwałtownych wstrząśnień, które niejednokrotnie zagrażały krajowi zgubą.

Starałem się zbadać stan umysłów tego burzliwego społeczeństwa, w którem mieszają się w bezładnym chaosie tradycye i fakta, szlachetne dążności i nizkie pożądliwości. Wogóle Hiszpanie nie są bardzo otwarci i wylani, i nie lubią cudzoziemców, a to do tego stopnia, iż np. członkowie ciał dyplomatycznych, których z konieczności zapraszać muszą na wszelkie zabawy i przyjęcia urzędowe, nader rzadko bywają proszeni na zebrania prywatne. Cudzoziemca popartego silnemi zaleceniami, przyjmują bardzo grzecznie i uprzejmie; usłyszy nawet utarty frazes „dom mój jest twoim domem", wypowiedziany z ujmującym uśmiechem, na pozór szczerze i serdecznie; zrobią mu tę lub ową grzeczność — ale łatwo się przekonać że te pociągające formy, pokrywają najzupełniejszą obojętność. Co do kobiet, jeźli nie wychwala się ich piękności lub nie mówi o najnowszym romansie — brak przedmiotów do rozmowy.

II.

Madrytanie są najmocniej przekonani, że stolica ich jest najpierwszem miastem w świecie, i że żadne inne nie przedstawia tak wielkich przyjemności i tyle najwszechstronniejszych sposobności użycia zabaw. Dumni są ze swych szerokich, w części regularnych ulic, ze swych placów i pięknych parków, tak przewyższających wązkie i kręte uliczki, nędzne i nieocienione place dawnych stolic Hiszpanii, Valladolidu i Toledo. Co do mnie, pozwalam sobie nie podzielać ich zdania; wolę daleko patrzéć na oryginalną, tchnącą historycznemi wspomnieniami fizyognomią uliczek, dostarczających wyobraźni nieprzebranej strawy, niż ulice szerokie i okazałe, które w zestawieniu z poezyą przeszłości, stanowią prozę teraźniejszości.

To przesadne uprzedzenie mieszkańców odnośnie do Madrytu, dalekich sięga czasów; świadczą o tem dawne dzieła, a między innemi listy hrabiny d'Aulnoy, podróżującej po Hiszpanii za panowania Filipa IV. Podaje ona iż pewien zacny adwokat madrytański, bardzo stary i biegły w swoim zawodzie, zachorował ciężko. Śmierć była nieuchronną; dzieci otoczyły jego łoże. Otóż zalecał im jedynie aby zawsze zachowali powagę, a błogosławiąc ich, rzekł: „kochane dzieci moje, nie mogę życzyć wam większego szczęścia nad to abyście całe życie spędziły w Madrycie, nie opuszczając tego ziemskiego raju jak tylko aby pójść do nieba."

Maluje to dosadnie, mówi pani d'Aulnoy, umiłowanie Madrytu przez Hiszpanów.

I uczucie to sięgające jeszcze owych czasów, kiedy to dla braku dróg powozowych, trzeba było przebywać w lektyce znaczną część drogi z Burgos do Madrytu, pozostało niezmiennem prawie, pomimo zmian jakie spowodowało zaprowadzenie dróg a szczególniej kolei żelaznych, tak ułatwiających stosunki międzynarodowe. Nie chcąc nic uronić z powabu i rozkoszy Madrytu i uledz pokusie opuszczenia go w jakiejbądź porze roku, nie poważono się budować wiejskich mieszkań otoczonych ogrodami, w których możnaby szukać niekiedy wytchnienia po gwarze miejskim. To też zamiast ładnych domów letnich i bogatych willi, okolice Madrytu po dziśdzień świecą pustkowiem.

Jeden, jedyny wyjątek, stanowi villa Salamanka, z drugiej strony Manzaneresu, tworząca jakby małą oazę w tej miniaturowej Sacharze, ale droga prowadząca do niej, poprzerzynana jest tak głębokiemi wybojami, że nieszczęśliwy przybysz obiecujący sobie iż dojedzie powozem do celu swej wycieczki, musi wysiąść z niego i przebyć pieszo głębokie wyrwy i rozpadliny.

Jeźli pomimo tylu niekorzystnych warunków, Karol V przeniósł tu stolicę państwa, to jedynie z tego powodu, że wszechpotężny monarcha cierpiał na pedogrę, i przekonał się że czyste powietrze tej wysokiej nagiej i skalistej płaszczyzny, doskonale oddziaływało na jego cierpienia. Może i było ono zbawienne dla niego, ale nie ulega zaprzeczeniu, że dla zwykłych śmiertelników jest niezdrowe i niebezpieczne. W lecie trzeba tu się dusić, a w zimie marznąć. Brak drzew dających cień i chłód, brak wody dla ugaszenia pragnienia — bo nie można przecie liczyć rzeki Manzaneres, której żartobliwy jakiś i zarazem litościwy podróżny, ofiarował szklankę wody „aby nie umarła z pragnienia;" ani źdźbła trawy dla wytchnienia oczom, ani najmniejszego pagórka któryby osłaniał od zimnego wiatru wiejącego od Guadarrama.

Tak więc dla fantazyi monarchy wywołanej atakiem pedogry, całe ludności muszą z pokolenia w pokolenie znosić niedogodności nieznośnego klimatu i jałowego gruntu.

Jako względnie nowe miasto, Madryt mało posiada pomników. Jak zwykle, w małych najstarszych uliczkach, przechowały się niektóre zajmujące pamiątki. Około bramy Maurytańskiej, wznosi się kilka bardzo starych fasad; zwróciłem także uwagę na niektóre *patios*, — są to budowle szczególniejszego rodzaju, nie dające jednak dokładnego pojęcia o patiosach Andaluzyi. Nieco dalej widać wieżycę Casa de Guzmanes, w której więziony był Franciszek I a której brama nie wygląda bynajmniej na więzienną. Z drugiej strony dom las Vastilas, gdzie przemieszkiwał Ferdynand i Izabella, oraz kardynał Himenes. Jest tam jeszcze balkon, z wysokości którego, gdy rozległy się krzyki *ricos hambres* zapytujące go: na mocy jakiej władzy wykonywał regencyą, odpowiedział ruchem wskazującym żołnierzy zapełniających dziedziniec, a których widać było przez otwartą bramę.

Doszedłem do Piazza-Major; tu zwraca uwagę *panaderia* czyli loża królewska, pomimo dość dziwacznego stylu, nie pozbawiona pewnej wspaniałości. Z tej to loży król z dworem przypatrywali się dawnym *auto-da-fe*. Słynny ten plac bywał także dla ludu widownią zabaw gwałtowne budzących wrażenia, to jest walki byków, którym z tem większem przypatrywano się zajęciem, z tem żywszem zadowolnieniem, im więcej młodych zapaśników zostało poszarpanych lub zabitych. Pewnego razu, zrozpaczona rzuciła się do areny, aby ratować swego narzeczonego, i najpierw została zranioną a następnie rozszarpaną rogami rozwścieczonego byka; uniesienie ludu nie znało granic, zewsząd odzywały się głosy że nigdy jeszcze nie zabawili się tak dobrze.

Gdyby z upodobań i zabaw wnioskować o charakterze ludu, możnaby sądzić że Hiszpanie są najdzikszym i najokrutniejszym pod słońcem narodem; byłoby w tem cokolwiek prawdy, jak tego dowodzi zbyt częste uciekanie się do noża i okrutne postępowanie *guerilleros'ów* z wpadającymi w ich ręce nieprzyjacielskimi żołnierzami — nie należy jednak uważać Hiszpanów za krwiożercze potwory — nie, oni tylko żywiej od innych poddają się gorącym namiętnościom i potrzebie gwałtownych wzruszeń.

Spojrzmy na nich gdy są spokojni. Jakaż to rozkosznie zaniedbana postawa! Wszystko w nich zdradza zamiłowanie w takich uciechach i rozkoszach jakich i inne pożądają ludy. Może oczy ich więcej się iskrzą, ale z pewnością nie wyrażają ani złości ani dzikości.

Przejdźmy na Puerta del Sol; tu wszystkoześrodkowuje się i ztąd rozchodzi. Plac ten półkolisty, otoczony jest gmachami probującemi uchodzić za pomnikowe, leży w samym środku Madrytu, jest jego sercem, którego każde uderzenie sprowadza lub oddala — za pomocą dziesięciu wiel-

kich dotykających do niego arteryi — daleko większe tłumy niżby to można przypuszczać sądząc po liczbie mieszkańców, dochodzącej zaledwie do 300,000. Niezwykły ten napływ tłomaczy się tem, iż aby dostać się z jakiejkolwiek dzielnicy do drugiej, trzeba koniecznie przejść przez Puerta del Sol.

Z tego także powodu plac ten jest jak to powiedziano „źwierciadłem stolicy”. W przeciągu kilku godzin można tu ujrzéć przesuwających się: przedstawicieli wszystkich klas społecznych, począwszy od deputowanego poszukującego wyborców, do małego kramarza uganiającego się za klientami; wszelkie władze począwszy od króla kłaniającego się zawsze, do żandarma niekłaniającego się nigdy; kobiety nie patrzące na nic i na nikogo i te które zanadto oglądają się za wszystkiemi. A wszyscy idą, biegną, przechodzą lub spacerują, przedstawiając najróżnorodniejsze ruchy, giesta i postawę.

Nic tu nie przypomina zamiłowania w barbarzyńskich lub tragicznych wrażeniach; wszystko przeciwnie tchnie jakąś udzielającą się wesołością ludzi, którzy zapomnieli co było wczoraj i nie myślą o jutrze. Można z przyjemnością przechadzać się w Paryżu po włoskim bulwarze lub na drodze wiodącej do Opery, ale bezcelowa taka przechadzka więcej przedstawia zajęcia na Puerta del Sol, ponieważ tu miejscowość, ludzie i wszystko dokoła, nastręczają daleko więcej rozmaitości i niespodzianek.

(*D. c. n.*)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Marca 1882 r.

Karnawał już się skończył, wiosna jeszcze nie przyszła. Magazyny paryzkie stosunkowo dość puste; każdy czeka na pierwszy promień słońca, a z nim na wystawy wiosennych i letnich towarów, które otwierają się zwykle w połowie marca. Położenie sprawozdawcy byłoby dziś nadzwyczaj trudne, gdyby nie to że Paryż dostarcza zawsze mnóstwo miłych niespodzianek. Taką właśnie niespodziankę spotkaliśmy w domu jednej z pracowitych rodaczek naszych, której powierzono kolorowanie rycin, dołączanych zazwyczaj do towaru. Za jednem rzutem oka, mogliśmy ogarnąć główny charakter letniej mody. Wprawdzie nie ma on w sobie nic bardzo wybitnego, nie brak jednak szczegółów zasługujących na uwagę.

Suknie krótkie sięgające zaledwie ziemi, przyjęte będą powszechnie; powłoki mniej więcej długie, służyć mają tylko na wielkie wystąpienia.

Mora gładka lub w pasy zastąpi miejsce atłasu w ozdobie wełnianych sukien i kostiumów. Do najmodniejszych kolorów należy szaro brązowy, zwany *pain bis* (kolor razowego chleba); przyjęte również wszelkie odcienie popielatego koloru, szczególniej odcień *souris* (myszkowaty), i odcień *acier bleu* to jest stalowy, wpadający w ciemno błękitny kolor. Oprócz tego utrzymują się zawsze kolory: ciemno rozmarynowy, śliwkowy, morderowy, i wydrowy. Mora w pasy przerabiane w deseń, używana na strojne suknie, najczęściej bywa w dwóch kolorach: miedzianym i ciemno szafirowym, śliwkowym i złotawym, ciemno zielonym i chlebowym. Pasy szerokie są na dwa cale. Najpiękniejsza z tych sukien, miała morowe pasy w ciemno miedzianym kolorze: obok nich szły ciemno szafirowe atłasowe, przerabiane w miedziany deseń, w rozmaitych odcieniach. Materya ta służyła tylko na tunikę i stanik; spodniczka z wolantami i drapowanym fartuszkiem, była z gładkiego atłasu w kolorze miedzianym.

W formie, a szczególniej w udrapowaniu sukien wielka panuje fantastyczność. Na pierwszy rzut oka możnaby wnosić, że się widzi pięć lub sześć spódniczek włożonych jedna na drugą; wszystko to jednak ułożone zgrabnie i naszyte na jednej spódnicy z muszlinu sztywnego lub kamlotu. Weźmy naprzykład suknię z fularu surah w kolorze popielato-heliotropowym. U dołu idą dwie falbaneczki zwane *balayeuze*, z atłasu nieco ciemniejszego, potem spada spódniczka, naszyta aż do góry plisowanemi wolancikami; spódniczkę tę od boków do tyłu, pokrywają dwie tuniki, jedna nad drugą, ogarnirowane białą koronką, z przodu zaokrąglone, z tyłu upięte w fantastyczne festony. Stanik do tego gładki, długi; u szyi równie jak z obu przodów, naszyty płasko odwiniętą koronką.

W miejscu gdzie tunika łączy się na przodzie ze stanikiem, wpięta kokarda z wązkiej wstążki atłasowej, złożona ze spadających pukli. Rękawy sięgają do łokcia, od ręki zakończone koronką; u ramienia nafałdowane buffy.

Uważaliśmy wiele wiosennych sukien w paski wązkie na palec; tło tkaniny, lekkie wełniane, paski przerabiane jedwabiem. Oto opis jednej z tych sukien, w kolorze śliwkowym w paski złotawe. U spódnicy cztery wolanty poprzeczne, układane w grube, zaprasowane kontrafałdy. Najniższy wolant szeroki na pół łokcia, drugi nad nim o połowę węższy, trzeci znowu szeroki, czwarty wązki. Nad niemi przerzucona do tyłu draperya. Stanik z gładkiej tkaniny śliwkowej, bardzo długi, z bawetem, zapięty na rząd złotych guzików. Od pleców spada długi bryt gładki, upięty w buffy na spódnicy, po bokach zaś z pod przodów stanika, wychodzą dwa bryty w paski, spadają do wolantów, potem podnoszą się w górę i łączą z tylną draperyą. Rękawy gładkie; od łokcia plisowany wolant w paski.

Biały haft powszechnie będzie przyjęty do ozdoby letnich tak fularowych jak wełnianych i batystowych sukien. Na fularze i wełnie haft ten wykonany zwykle w maszynie jedwabiem albo pelą. Dajemy tu opis takiej sukni, z lekkiej tkaniny *voile* w kolorze ciemno *caroubier*, czyli morderowym. U dołu spódnicy szeroki wolant plisowany w wielkie kontrafałdy. Nad tem naszyty płasko pas z tejże tkaniny, zahaftowany białą pelą, z zębami spuszczonemi na dół, powyżej znów szeroki wolant, i draperya z haftem przerzucona w górze spódniczki.

Stanik długi, gładki, zakończony plisowaną falbanką, a nad nią haftowanym szlakiem. Z tyłu bryty ułożone w fantastyczne festony.

Zapowiadają także suknie z gładkiego alzackiego perkalu, w rozmaitych kolorach, haftowane bawełną. Łatwo się domyśléć że będą podobne do tych, ale nierównie tańsze, odpasowane w drukowany deseń. Takie jakby na próbę, zjawiły się już były zeszłego lata.

U innych sukien perkalikowych widzimy falbanki białe z haftem angielskim w dziurki, pomieszane razem z kolorowemi falbankami.

Przytoczmy tu jeden jeszcze model wiosennego kostiumu, równie ładny jak oryginalny.

Składa się ze spódniczki kaszmirowej, w kolorze stalowo-szafirowym i z podobnego surducika, zwanego Lewitką. Spódnica ma u dołu podwójny plisowany wolant, na to spada druga spódnica udrapowana w festony, zakończona jedwabną frendzlą.

Na lewitkę, użyty materyał w tymże samym kolorze, ale przerabiany w rzut z liści jedwabnych. Ta lewitka ma zwyczajny stanik, z bawetem, otwarty z przodu; na wykroju dane atłasowe klapy, pod spód zaś idzie plastron z marszczonego fularu surah. Poniżej od stanika spadają poły, otwarte z przodu, płaskie po bokach, w tyle zaś mocno nafałdowane. Z obu stron idą wielkie czworograniaste kieszenie, naszyte klapą atłasową, u dołu wyciętą w trzy zęby.

Rękawy płaskie, dosyć długie, mają wyłożony mankiet atłasowy.

Co do kapeluszy, moda jeszcze nieustalona; zdarzyło nam się jednak widzieć kilka nowych modeli: byliśmy właśnie w wielkim magazynie *Compagnie Lyonaise*, gdy je pokazywano cudzoziemkom odjeżdżającem z Paryża. Jeden z nich okrągły, czarny słomkowy, miał rondo znacznych rozmiarów, cokolwiek spuszczone do czoła. Nad rondem szła kokarda alzacka z *surah* koloru ciemno *caroubier*; od niej spadały naprzód niewielkie czarne strusie pióra. Brzegiem ronda naszyta była koronka haftowana dżetem, szeroko na cztery palce, przysłaniająca czoło. Inny kapelusz z białej słomy, miał szerokie szarfy morowe w kolorze słomkowym i upięty z wierzchu wielki bukiet z róż ciemno pąsowych. Uważaliśmy także dwie jedwabne kapotki: jedna w kolorze ciemno *caroubier*, z kokardą alzacką na wierzchu, miała podpięty dyadem z róż blado żółtych i blado-różowych bez liści, szarfy atłasowe *caroubier*. Druga kapotka ciemno szafirowa, podpięta była dyademem z białych konwalii, pomieszanych z różowemi hyacyntami. Szarfy morowe ciemno szafirowe służyły do związania pod brodą.

Parasoliki przygotowane już na wiosnę, odznaczają się gustem. Widzieliśmy piękne *en tout cas*, z czarnej materyi, podbite białą marseliną, obszyte blądyną czarną blizko ćwierćłokciowej szerokości. Z jednego boku wyhaftowane były pelą kolorową dwa ptaki z jaskrawemi piórkami, siedzące na gałązce. Inny znów parasolik także czarny, miał wkoło szlak z różnokolorowych bratków, od brzegu spadała koronka. Inny wreszcie na tle ciemno szafirowym zahaftowany był w pączki róży.

W kołnierzykach mała odmiana. Do najmodniejszych należą wielkie półbatystowe, całe pokryte ażurowym haftem angielskim. Mankiety do nich odpowiednie.

Na ulicy wiele widać czarnych kołnierzy z blądyny hiszpańskiej: u szyi dana rzęsista riusza, od niej spada blądyna szeroka przeszło na ćwierć łokcia, kilka razy przemarszczona w górze, spięta na kokardę czarną atłasową lub aksamitną.

Uważaliśmy też w teatrze kaftaniki z czarnej blądyny z otwartemi rękawami i dosyć długą baskiną, przepasane w stanie morowym paskiem.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

⁂ Co dawniej wydałoby się czemś tak ohydnem i niecnem, iż ktokolwiekby się tego dopuścił byłby odtrącony od społeczeństwa i towarzystwa uczciwych ludzi, oraz powszechną orzucony pogardą, dziś staje się rzeczą coraz powszedniejszą, prawie uchodzi bezkarnie i zaledwie niektórzy, większą odwagą cywilną szczycący się redaktorowie, odważą się kilku słowami oburzenia napiętnować podobne postępowanie. Mówimy tu o coraz częściej wydarzającem się nieposzanowaniu woli zmarłych, którzy wiedzeni żądzą dobra kraju lub szlachetną filantropią, przeznaczyli swe mienie na pomoce dla biednej uczącej się młodzieży, na zapomogi dla włościan, dla podupadłych ziemian, biednych wdów i sierot po rolnikach, i t. p. Na jakież uznanie zasługują spadkobiercy, którzy nietylko spełniają święcie wolę zmarłego, ale nawet zrzekają się na korzyść legataryuszów, zwłoki i udogodnień jakie im mocą testamentu przysługiwały. Tak szlachetnie postąpili sukcesorowie zmarłego rolnika-poety, powszechnie szanowanego obywatela ś. p. Gustawa Zielińskiego.

W przeddzień Nowego Roku odbyła się w Skępem piękna uroczystość: rodzina zmarłego i egzekutorowie testamentu wypłacili wszystkie legata służbie folwarcznej, leśnej, rzemieślnikom, oficyalistom — co wynosiło o wogóle 20,000 rs. Cześć rodzinie, która odziedziczywszy po ojcu nietylko majątek ale i piękne przymioty serca i duszy, nie chciała korzystać z dozwolonej testamentem sześcioletniej zwłoki, i jednozgodnie postanowiła niezwłocznie wypłacić legata. Lud i obdarowani, przejęci wdzięcznością dla dobrego, prawdziwie polskiego pana, zakupiwszy uroczyste nabożeństwo, modlili się gorąco o wieczny spokój dla tego, który ulżył z miłością ciężkiej ich doli.

⁂ Dnia 20 z. m. zmarł w Poznaniu młody uczony, Stanisław Warnka, który wielkie położył zasługi na polu dziejopisarstwa i geografii. Powodem śmierci była choroba piersiowa. Warnka urodził się w Ks. Poznańskiem, w Łabiszynie, 1845 roku ukończywszy chlubnie uniwersytet w Berlinie, objął nieetatową posadę profesora, w gimnazyum poznańskiem św. Maryi Magdaleny, gdzie gruntowną nauką, ujmującem obejściem i nader jasnym wykładem, zjednał sobie wkrótce ufność i miłość młodzieży. Nie podobało się to rządowi pruskiemu, z obawy aby profesor nie wywierał zbyt silnego wpływu na umysł młodzieży; około 1875 roku naznaczył mu posadę w nędznej niemieckiej mieścinie, nad granicą holenderską. Nie chcąc opuszczać kraju ojczystego który kochał całą duszą, Warnka posady nie przyjął i wystąpił ze służby rządowej. Następnie był profesorem miejskiej szkoły handlowej w Lipsku, gdzie przygotowywał się do zajęcia katedry geografii na uniwersytecie lwowskim, oraz oddawał się piśmiennictwu krajowemu. Do najcelniejszych prac jego należy książka: „Zasługi Joachima Lelewela na polu geografii”, w której młody uczony odpowiedział godnie tak trudnemu zadaniu oceny stuletniego olbrzyma wiedzy geograficznej. Z tego dzieła można już wnosić jak daleko zaszedłby Warnka, gdyby siły fizyczne dorównywały potędze umysłu. Z jego śmiercią naukowe piśmiennictwo polskie, traci jednego z najgorliwszych i najzdolniejszych pracowników. Oprócz artykułów drukowanych w lwowskim „Przeglądzie Naukowym”, w „Dzienniku Poznańskim” i innych pismach wychodzących po za granicami Królestwa, Warnka pisywał także do warszawskiego „Ateneum”.

⁂ Wszystkie niemal pisma nasze podały sprawozdania o dorocznym wiedeńskim balu polskim: o to co pisze o nim wiedeńska *Presse*:

„Najniecierpliwszy, najciężej ostatnim sezonem karnawałowym zmordowany sprawozdawca musiał pogodzić się wczoraj ze swoim losem; karnawał pożegnał nas wczoraj balem polskim tak zajmująco i wytwornie, iż żal nam go prawie. Mądrość ludu, chcąc powiedzieć o kimś że ma prawdziwie arystokratyczne wzięcie, utworzyła wyrażenie „przedstawia się jak polski szlachcic” i ma słuszność. Bal polski był istnym gentlemanem pomiędzy mieszczańskiemi i na pół arystokratycznemi balami, jakie w ciągu zapust przesunęły się przed naszemi oczami. Lecz nie samo tylko wyborowe towarzystwo i ton prawie dworski jaki panował na balu polskim, nadały mu wyjątkowo zajmujący charakter; najcelniejszym jego przymiotem była niezwykła piękność dam. Niech sobie rozmaite komitety balowe, słusznie chełpiące się swoim „bukietem pięknych kobiet”, wiedzione komitetowym patryotyzmem, reklamują dla swoich zabaw pierwszeństwo—wczoraj uznano jednozgodnie: że oddawna w stolicy naszej w żadnej sali balowej nie zgromadziło się tyle tak doskonale pięknych kobiet. Tu słynna Wenno salonów, tam po raz pierwszy występująca w świecie cudnie urocza dziewica, to znów okazała gwiazda teatru, tam nareszcie wielka dama, z porywającem, ognistem spojrzeniem wielkoświatowej Polki — słowem gdzie spojrzéć, oczu oderwać trudno było... Ale zwykła terminologia balowego kronikarza nie wystarczy do opisania niewysłowionego uroku jakim pociągało towarzystwo polskie, kto nie widział, wyobrazić sobie go nie zdoła, kto może niech się więc stara aby na rok przyszły dostać bilet zapraszający, które tylko wybranym rozsełają”.

Oto jak się wyraża poważny dziennik wiedeński o piękności rodaczek naszych, a tryumf to dla nich niemały, bo Wiedeń słynie z pięknych kobiet.

⁂ „Die Polen und Ruthenen in Galizien”, dzieło to napisane w języku niemieckim przez znanego historyka Józefa Szujskiego, wyszło w pięknem bardzo wydaniu nakładem Karola Prochazki w Cieszynie, jako zbiorowy tom jego zbiorowego wydawnictwa: „Die Völker Oesterreich-Ungarns”. Oto co pisze o dziele tem „Gazeta Lwowska”:

„Księgarzowi cieszyńskiemu słusznie należy się uznanie, że po obraz Galicyi i jej ludności nie udał się do któregoś z pismaków mniej odznaczających się nauką i talentem jak ślepą nienawiścią do kraju i społeczeństwa, którego nawet po większej części nie znają, ale zwrócił się do znakomitego pisarza polskiego, który znowu prawdziwie zasługuje na wdzięczność, że wiedziony poczuciem obywatelskiem, odrywając się od prac swych i badań naukowych, zajął się napisaniem dzieła, które z treści swej nie leżało w ściślejszym zakresie jego studyów, a której nie mógł rozwinąć jakby tego pragnął, a nadto zmuszony był pisać w obcym języku. Jest to dzieło niepospolitej wartości, napisane z umiarkowaniem, talentem i sumiennością. W szczupłych, przez wydawcę zakreślonych ramach, Szujski umiał zamieścić najważniejsze cechy tak duchowego jakoteż ekonomicznego życia kraju i charakterycznemi rysami skreślić jego fizyognomią. Wiadomości o ziemi i ludziach, obyczaje i poezya ludowa, polityczna i cywilizacyjna przeszłość kraju, jego społeczeństwo, treściwy opis okolic i miast, i nareszcie mistrzowsko naszkicowana historya literatury polskiej i rusińskiej, tworzą nader pożyteczną i zajmującą całość, która dla cudzoziemca będzie zapewnie pierwszą książką o nas uczciwą i prawdziwie pouczającą, z jaką mu się dotąd pewnie spotkać nie zdarzyło.”

⁂ Wiadomo że honorowym prezesem Akademii Adama Mickiewicza w Bolonii, był zmarły niedawno senator, hrabia Karol Pepoli; otóż obecnie rzeczywisty jej prezes profesor Dominik Santagata, honorową prezydencyą ofiarował J. Ex. Cezarowi Correnti, pierwszemu sekretarzowi króla, jako wielkiemu mistrzowi zakonu śś. Maurycego i Łazarza, a wielkiemu kanclerzowi orderu Korony Włoskiej. Znakomity mąż stanu, b. minister i głośny pisarz przyjął chętnie ten urząd, a nadto przyrzekł udzielić wkrótce akademii dla publicznego odczytu, kilku rozdziałów z nieogłoszonego dotychczas wielkiego dzieła swego o Polsce. Jest to raczej historyozofia niż właściwa historya polska, napisaną przez jednego z najgłębszych myślicieli i najzdolniejszych tegoczesnych pisarzy, a nadewszystko przez męża wywierającego po dziś dzień przeważny wpływ na politykę własnego kraju. Do tej filozofii dziejów polskich, mającej składać się z dwóch tomów, wiele objaśnień i wskazówek udzielił autorowi J. I. Kraszewski i inni Polacy. Dzieło p. Correnti będzie mieć europejską doniosłość; wyjdzie jednocześnie po włosku i po francuzku, w dwóch oddzielnych wydaniach. Jedno, wydane nadzwyczaj kosztownie i ozdobione przepysznemi ilustracyami, wyjdzie w Paryżu nakładem Rothschilda, na wzór *Wenecyi i Florencyi*, wydanych przez tegoż księgarza.

⁂ Obraz Munkaczego *Chrystus przed Piłatem* ma być zakupiony przez Węgrów na własność narodową; zachodzi tylko pytanie jaka będzie cena obrazu, albowiem utwór Munkaczego jest własnością Seydlmayera, paryzkiego handlarza obrazami, któremu służy wyłącznie prawo reprodukcyi i obwożenia obrazu po różnych miastach, co przyniesie mu najmniej 200,000 fr. Dotąd zgłasza się trzech nabywców: jeden z kościołów paryzkich, galerya luxemburska,—która jednakże na zasadzie swoich statutów, nie ma prawa płacić za obraz drożej jak 50,000 franków, i jakaś osoba prywatna, ofiarująca 200,000 fr. Munkaczy pragnąłby nadzwyczaj aby obraz jego przeszedł na własność kraju, i napisał w tym celu do Seydlmayera, ale niewiadomo jeszcze co tenże zażąda. W tych dniach, na uroczystem posiedzeniu Towarzystwa sztuk pięknych w Peszcie, przewodniczący biskup Ipolyi, po przemówieniu, w którem wykazał chlubne zasługi, jakie Munkaczy położył na polu sztuki, wręczył artyście srebrny wieniec, a następnie deputacya młodzieży akademickiej ofiarowała mu wieniec laurowy. Wieczorem urządzono na cześć Munkaczego świetny pochód z pochodniami oraz wspaniałą ucztę w kassynie narodowem. Tu przyjmował go powitalną mową hrabia Stefan Karolyi; artysta dziękował z wielkiem wzruszeniem.

⁂ Słynny pływak Boyton zajmująco opisuje przygody swoje na górnej części rzeki Missuri, którą całą wzdłuż przepłynął. „Podróż moja, mówi, była często monotonną; przerażało mnie echo własnego głosu. Jedynemi dźwiękami jakie

słuch mój uderzały, był szum wiatru i gęganie dzikich gęsi. Po zachodzie słońca zwykle zatrzymywałem się na ławie piasczystej i tam przebywałem noc aż do piątej rano. Niekiedy widywałem ślady antylop, bawołów, jeleni i gazelli. Raz tylko co nie utonąłem zawadziwszy o ostry kant pnia, który przedziurawił mój przyrząd; po naprawieniu go, w dalszą puściłem się podróż. Pewnego dnia usłyszałem na brzegu jakis szelest; obejrzawszy się ujrzałem Indyanina mierzącego do mnie z rusznicy. Zebrawszy wszystkie siły podniosłem się w wodzie i krzyknąłem jak mogłem najgłośniej: „how!" i „who alloo!" Przestraszony syn lasów drapnął tak prędko iż żaden szybkobiegacz by go nie przegonił. Wkrótce potem dopłynąłem do Fort-Bufford w Yellowstone, gdziem się dowiedział o śmierci prezydenta. Następnej nocy, rzeka ledwie co nie pochłonęła mnie w swych nurtach; wpadłem bowiem na piasek ruchomy w który zapadałem coraz głębiej. Męczyłem się przez dwie godziny zanim zdołałem się wreszcie wydobyć. Pewnego razu spędziłem noc na wybrzeżu, ale wycie szakali zasnąć mi nie dało." Pnie drzew sterczące w rzece, nader utrudniały mu pływanie, i nieraz narażały na niebezpieczeństwo utraty życia.

⁂ Szczególną zwraca uwagę wpływ kanału Suezkiego na klimat całej okolicy. Od r. 1854 do 1870, w okolicy tej deszcz padał tylko raz do roku, teraz pada co najmniej dwa razy na miesiąc, oprócz często opadającej mgły. Mieszkańcom miasta Suez mniej dokuczają upały letnie; wzdłuż kanału powstaje bujna wegetacya, zawdzięczająca byt swój wywołanym przez budowę kanału opadom atmosferycznym.

⁂ Ktoby się spodziewał że tak niewinny sprzęt jak parasol, zagraża bardzo lubownikom potraw korzennych i bytowi — plantacyi pieprzu. Tego przynajmniej lękają się bardzo plantatorowie tej korzennej przyprawy. Jak wiadomo że w Anglii i w Stanach Zjednoczonych wyrabiają niemal wyłącznie laski do parasoli z młodych drzewek pieprzowych. W ostatnich pięciu latach z samej Jamajki wywieziono przeszło 800,000 lasek. Jeźli tak dalej potrwa, plantacye mogą zostać wytępione.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu L. w Kijowie W wierszyku p. t. Prawdziwy poeta, brak wzniosłości myśli prawdziwie poetycznych. Widnieje w nim pewien przymus, walka z trudnościami pięknego zadania, w której forma na liczne usterki jest narażona.

Stałej Poenumeratorce z Łuki w Galicyi. Życzenie zmienienia dodatku powieściowego na format książkowy, chętniebyśmy spełnili, bo to umniejszyłoby znacznie koszta wydawnictwa, ale znaczna większość prenumeratorów zmianie tej nie byłaby rada. Dodatek łatwiej trzyma się numeru, trudniej ginie i co najważniejsza iż nie wymaga składania go według numeracyi, do czego trzeba nabyć pewnej wprawy. Nadto, stanowi całośc i może być czytany każdy oddzielnie. Przyłączany w formacie książkowym, dogodności tych nie przedstawia i kończy się nietylko w połowie peryodu ale często w połowie wyrazu. Żeby więc z niego użytkować, trzeba go składać, strzedz od szkody, czem nie każdy chce się zajmować. Przepraszamy więc bardzo że życzenie spełnione być nie może.

BADANIA PORÓWNAWCZE

W DZIEDZINIE JĘZYKA,

przystępnie streścił

Lud. Szczerbowicz-Wieczór.

1882 r.

Treść tej książki stanowią wyniki najnowszych badań porównawczych w nauce językoznawstwa, młodej jeszcze, bo stu lat nie liczącej, u nas całkiem prawie nieznanej. Badania te, dokonane przez uczonych europejskich: Boppa, Grimmów, Potta, Benfeya, Maxa Müllera, Burnoufa, Picteta, Schleichera, Kuhna, Miklosicza, Vaniczka i wielu innych, nietylko wydały mnóstwo zdumiewających i płodnych w następstwa wyników, nietylko wyświadczyły olbrzymie przysługi gramatyce, historyi, etnografii i innym umiejętnościom, ale nadto zdołały pociągnąć i zaciekawić nawet ogół światlej publiczności, wskazując i otwierając nowe drogi dochodzeń, ułatwiając poznanie mowy rodzinnej i wystawiając w nowem świetle liczne jej zjawiska i objawy, przedtem ciemne, do objaśnienia i pojęcia trudne. Dla utorowania tej nowej nauce podobnych dróg w naszem także społeczeństwie, nieobojętnem względem mowy ojczystej, autor niniejszej pracy zebrał najważniejsze i najciekawsze wyniki owych badań i zastosował je do języka polskiego, który był dla niego zawsze na pierwszym względzie. Po tej skromnej próbie nastąpią niezawodnie, w bliższej lub dalszej przyszłości, liczne dzieła innych pracowników, którzy wyprowadzą piśmiennictwo nasze ze stanu dotychczasowego zacofania w tej gałęzi i ułatwią przyszłym pokoleniom przyswojenie i tych także owoców nauki i cywilizacyi europejskiej.

Autor zapowiadanej książki przeznacza ją nietyle dla uczonych specyalistów, jak dla tych, którzy kształcą się sami lub pragną uzupełnić swe wykształcenie — dla całego niemal ogółu czytających, nie wyjmując kobiet i chciwej nauki młodzieży. Mając ten cel na względzie, piszący unikał przeładowania treści zbyt ciężką i zawiłą, pedantyczną, lub odstręczającą i suchą erudycyą; a co się tyczy formy, starał się, w miarę sił i możności, przemawiać do czytelników przystępnie i zrozumiale.

Książka wyjdzie z druku przed 1 lipca r. b. z dołączeniem spisu prenumeratorów. Cena egzemplarza wynosi: dla prenumeratorów miejscowych, w Płocku zamieszkałych, rs. 1, a dla wszystkich innych — rs: 1 kop. 20 z przesyłką.

Prenumerować można:

W **Płocku**: u autora, w księgarni Kempnera i w księgarni Wassermana.

W **Warszawie**: w Redakcyi „Tygodnika Mód" i „Przyjaciela Dzieci" (ulica Widok Nr. 3) i w księgarni M. Orgelbranda (wprost Kopernika, i w filii przy ulicy Senatorskiej N. 22).

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 16 Февраля 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 9, r. 1882.

TO BYŁO OBŁĄKANIE.

PRZEZ

HENRYKA CAUVAIN.

(Dokończenie.)

Armand zadrżał, domyślił się że hrabia mówił to o Małgorzacie, ale do czego zmierzał?

— Panna de Trémeillan... odezwał się mniej pewnym głosem.

— Panna de Trémeillan jest umierająca, odpowiedział żywo hrabia. Czy pan słyszy? umierająca, a jeźli zakończy teraz życie, będziesz pan zmuszony powiedzieć sobie że ją zabiłeś...

Armand odetchnął. Widocznie hrabia spędził większą część dnia za domem i nie wiedział nic o ucieczce Małgorzaty, a teraz przywiedziony do ostateczności, starał się wmówić w Armanda, że wznawiając tę sprawę zada cios śmiertelny tej którą kocha. Ten okrutny i nieszlachetny podstęp oburzył Armanda.

— Skłamałeś, panie hrabio! zawołał z ogniem. Życiu panny de Trémeillan nie grozi żadne niebezpieczeństwo; cierpi nad tem iż okoliczności tak się złożyły że pan i ja staliśmy się dla siebie wrogami, ale wie że może mi zaufać, że ją kocham prawdziwie, i że cokolwiek nastąpi, zostanie kiedyś moją żoną! Sądził pan, że mnie tem przestraszy... powstrzyma od dalszych przeciwko panu kroków, ale na nic się to nie zdało, bo znam prawdziwy stan rzeczy; tak, pomimo wszelkich usiłowań pana, wiem co się dzieje w pałacu d'Albrays, dlatego też mogę śmiało powtórzyć że się pan dopuścił kłamstwa.

To gwałtowne wystąpienie Armanda zmieszało pana de Trémeillan, który jak widać rachował z pewnością na skuteczność użytego przez siebie środka. Wstał prędko, zdjął kapelusz i odetchnął głęboko, jakby go coś zaduszało; potem znów upadł ciężko na ławkę i pochylił głowę zwyciężony energią Armanda, i przekonany że napróżno starałby się zwalczyć tak silne i niezachwiane postanowienie.

Gdyby nie było już tak ciemno, Armand mógłby dostrzedz jak twarz hrabiego była strasznie zmienioną. Był bardzo blady, oczy jego, które dawniej patrzyły tak dumnie i surowo, teraz zaczerwienione od bezsenności, rzucały prawie błędne spojrzenia.

— Więc jakież są dalsze zamiary pana? rzekł usiłując mówić śmiało i spokojnie, na co jednak nie dozwalało wyraźnie drżenie głosu.

— Raz jeszcze, proszę pana hrabiego, odpowiedział Armand, abyś zaniechał myśli stawiennictwa w mającym się rozpocząć procesie. Oddal się pan na czas jakiś; usiłując się bronić, nadasz tylko więcej rozgłosu tej sprawie.

— Jeszcze!... zawołał hrabia, więc to wszystko co miałeś mi pan powiedzieć? Ośmielasz się pan występować znów z radą którą już raz odrzuciłem z oburzeniem. Ja nie miałbym się bronić, skoro mogę to uczynić z taką łatwością; miałbym zezwolić aby jakiś adwokat szarpał mnie językiem, gdy mogę zawstydzić wszystkich którzy mnie oskarżać będą!... Nie, mój panie, nie, nigdy!... Chcesz doprowadzić rzeczy do ostateczności, a więc niech i tak będzie!.. Zobaczymy kto z nas wyjdzie z tej walki ciężej raniony.

— Panie hrabio, za ośm dni otrzyma pan nakaz stawienia się przed sądem.

Były to ostatnie słowa jakie Armand wymówił do hrabiego de Trémeillan, aż do dnia w którym znaleźli się znów razem w sali sądu kryminalnego.

Po odejściu hrabiego, Armand pozostał jeszcze w ogrodzie, oczekując na Jana Torquenié, który też nadbiegł wkrótce zmęczony. Przewidując niespokojność swego obrońcy, wrócił z Albrays do Mesnil, nie spocząwszy ani na chwilę.

— Panna de Trémeillan wróciła szczęśliwie, rzekł zbliżając się do Armanda d'Arçay. Poszedłem sam do głównych drzwi, zadzwoniłem i prosiłem o jałmużnę mówiąc bardzo głośno, aby tym sposobem zwrócić na siebie uwagę służących, ona zaś tymczasem weszła niespostrzeżona bocznemi drzwiami.

XXXI.

W kilka tygodni później Andrzej Gérard odebrał od swego przyjaciela Armanda d'Arçay list następujący:

„Przechodzę, drogi mój przyjacielu, najboleśniejszą próbę w życiu. Przybądź do mnie choć na kilka dni, potrzebuję twej obecności, twego przywiązania, bo czuję się bardzo osamotnionym i uginam się często pod brzemieniem smutku. Sprawa Jana Torquenié rozpocznie się 9 października, Ukrywałem długo przed matką te nieszczęsne wypadki, ale w końcu niepodobna mi już było przedstawić jej prawdopodobnych powodów opóźniania się mego ślubu, ani też wytłomaczyć dla czego Małgorzata przestała ją odwiedzać. Prócz tego przewidywałem że ta sprawa stanie się bardzo głośną, i nie chciałem aby dowiedziała się o niej od kogoś obcego. Opowiedziałem jej więc wszystko, z wyjątkiem szczegółów dotyczących mego nieszczęśliwego ojca, i moich osobistych usiłowań w celu otrzymania rehabilitacyi Jana Torquenié. Nie wie dotąd jak wielki udział biorę w tych wypadkach.

„Wszak mogę z pewnością napisać: do widzenia? Zrobisz prawdziwie dobry uczynek, odwiedzając przyjaciela pogrążonego w tak ciężkim smutku; twoja energia i wesołość pokrzepi me siły.

„Przesyłam ci zapewnienie najszczerszej przyjaźni. Armand d'Arçay."

Andrzej Gérard po przeczytaniu tego listu, odwrócił na stalugach rozpoczęty obraz, zapakował prędko rzeczy, pośpieszył do dworca kolei, a nazajutrz około południa był już w Rennes.

Zastał Armanda bardzo smutnego i zmienionego; rozmawiali z sobą bardzo długo, i Arçay opisał mu dokładnie cały stan rzeczy.

— Postawa, jaką przybrał obecnie pan de Trémeillan, jest prawdziwie oburzającą, mówił dalej; z początku odzywał się tak dumnie i hardo, iż byłem pewnym że zamierza bronić się śmiało, przyznać się do zabójstwa popełnionego na panu de Mortrée, ale przedstawi tę zbrodnię jako słuszną zemstę ze strony ciężko znieważonego męża. Przewidywania moje okazały się mylne; obawiałem się jego niepohamowanej gwałtowności, obawiałem się aby dla uniewinnienia siebie, nie pokrył hańbą pamięci hrabiny. Zresztą on sam straszył mnie tem, chcąc powstrzymać od zajęcia się tą sprawą, a jednak cofnął się tchórzliwie gdy trzeba było wystąpić do otwartej walki. Mówiłem ci już że jego wspólniczka złożyła dokładne zeznanie, pod wpływem zabobonnego przestrachu, oraz przerażenia wynikającego z otrzymanej wiadomości o nagłej śmierci jej pana; lecz jak tylko przekonała się że ją zwiodłem, usiłowała odwołać swe zeznanie.

Wezwana do indagacyi, wskutek dekretu sądowego nakazującego przejrzenie sprawy Torquenié, złożyła zupełnie odmienne zeznanie co do powodów skłaniających ją do zabicia wice-hrabiego de Mortrée. Zapewniła że wszystko co zeznała poprzednio było nieprawdziwem; że miała wtenczas silną gorączkę która odebrała jej przytomność umysłu, i że nawet nie może sobie przypomnieć co wtenczas mówiła.

Nie podpada wątpliwości że ta kobieta powtarza wiernie to co jej kazał mówić pan de Trémeillan. Przyjmuje na siebie całą winę; utrzymuje że zobaczywszy pana de Mortrée w pobliżu pałacu d'Albrays, strzeliła do niego z karabinka wykradzionego Janowi Torquenié, ale chybiła. Wice-hrabia nie miał broni, zaczął więc uciekać sądząc że ma do czynienia z jakimś rabusiem, i zrzucił z siebie tużurek aby mógł biedz śpieszniej. Widząc że nie potrafi go dogonić, pobiegła krótszą drogą do lasku, zaczaiła się w miejscu około którego musiał przechodzić, a gdy nadszedł, strzeliła znów do niego i zabiła.

Zbrodnię swą tłomaczy tem, że spotykając często pana de Mortrée w pobliżu pałacu, a wiedząc że jest śmiertelnym wrogiem hrabiego, wyobraziła sobie że czycha na życie lub honor hrabiego, i dla tego postanowiła go zabić!

Badano także hrabiego de Trémeillan, który jak słyszałem, odzyskał już zupełnie zimną krew, i okazał się dumniejszym jeszcze i bardziej imponującym jak zwykle. Wie zapewnie że może liczyć z pewnością na poświęcenie i przytomność umysłu Wilczycy. Wyparł się z oburzeniem wszelkiego wspólnictwa w zabójstwie pana de Mortrée, a gdy mu przeczytano pierwsze zeznanie Wilczycy, odpowiedział że ta kobieta miewała już od dawnego czasu jakieś dziwne przewidzenia, i że niekiedy zdawała się zupełnie obłąkaną.

W taki to sposób usprawiedliwiał szaloną zbrodnię, której się dopuściła zabijając bez powodu pana de Mortrée, i opowiadając następnie, w przystępie obłędu, niedorzeczną i nieprawdopodobną bajkę urzędnikom sądowym, których wezwała do siebie.

Pojmujesz teraz jak trudnem jest zadanie sądu; po dwudziestu latach trudno już znaleźć świadków i dowodów, trzeba więc było poprzestać na zeznaniu Wilczycy, a skoro przyznawała się do zbrodni i zapewniała że popełniła ją sama i z własnego popędu, prawie niepodobna było dowieść jej że kłamie. Chodziło głównie o to aby sędziowie przekonali się że Torquenié jest niewinnym; otóż obydwa zeznania Wilczycy nie pozostawiały co do tego najlżejszej wątpliwości; czy zaś pan de Trémeillan był lub nie wspólnikiem zbrodni, to już stanowiło kwestyę podrzędną.

Trzy osoby tylko znały prawdę i mogłyby ją po-

wiedzieć, to jest: ksiądz Dubois, pan Rousseau i ja; ale wiem że mogę liczyć na szlachetność starego adwokata i milczenie księdza; zresztą i oni także pragną tylko rehabilitacyi Jana Torquenié.

— Oto, mój kochany Andrzeju, obecny stan rzeczy. Wilczyca zostanie skazaną, ale i teraz jeszcze kara nie dosięgnie głównego winowajcy.

— Doprawdy, Armandzie, nie pojmuję z jakiego powodu miałoby cię to martwić; zdaje mi się na wet że tak dla panny de Trémeillan, jak dla ciebie, lepiej aby się tak stało.

— Ten człowiek okazał się nikczemnym tchórzem.

— Ba! cóż to znaczy skoro jest tylko ojczymem.

— Przyznaję że to właśnie stanowi jedyną dla mnie pociechę, odpowiedział Armand ze smutnym uśmiechem.

XXXII.

Dziewiąty października był jednym z tych dni ponurych i słotnych, jakie tak często zasępiają niebo Bretanii.

Wielka sala sądu kryminalnego w Rennes była pogrążona w jakimś półcieniu sprawiającym przykre wrażenie. Krople deszczu spadały z szumem na wysokie okna, a ten jednotonny i smutny szmer, stanowił rodzaj akompaniamentu do trochę ociężałego głosu pana prezydującego, który zadawał pytania obwinionej i świadkom.

Przy słabem świetle wpadającem do sali, można było dostrzedz trzech urzędników sądowych siedzących przy stole, na którym stał wielki Krucyfiks, na lewo szereg głów sędziów przysięgłych, przysłuchujących się uważnie i z zadziwieniem; na prawo czarną postać chudą i skurczoną, między dwoma żandarmami, którzy drzemali wsparłszy ręce na rękojeści swych szabli. Była to Wilczyca.

Na ławie świadków siedziało kilku starych wieśniaków, pamiętających jeszcze pierwsze akta dramatu odgrywającego się dwadzieścia lat temu, w tejże samej sali. Na drugim końcu tej ławki znajdował się Jan Torquenié, poważny i zamyślony; zatrzymywał wzrok to na sędziach, to na krzyżu z wizerunkiem Chrystusa, i zdawał się wracać myślą do owego strasznego dnia, w którym siedząc na ławie oskarżonych przechodził tak okropne katusze.

Nieco dalej rysowały się w półcieniu dumne i surowe rysy hrabiego de Trémeillan, dla którego prezydujący kazał przynieść fotel. Był ubrany bardzo starannie i siedział wsparłszy ręce na lasce ze złotą gałką. Na nieruchomej jego twarzy nie odbijało się żadne z tych uczuć które musiały wstrząsać jego duszą. Stawał jako świadek, i unikał widoku Wilczycy.

Na ławce adwokatów, prócz pana des Valliéres obrońcy oskarżonej, adwokata miejscowej arystokracyi, *dobrze myślącego*, i który na żądanie pana de Trémeillan podjął się obrony Wilczycy, — znajdował się pan Rousseau złamany wygnaniem i chorobą, ale którego oczy ożywiały się jakimś dziwnym blaskiem w ciągu niektórych zeznań, a nakoniec nieco dalej, stał Armand d'Arçay smutny i blady.

Posiedzenie trwało krótko; zdawało się że tak sędziowie, jak adwokaci i świadkowie pragną aby sprawa skończyła się jak najprędzej.

Drzwi do sali sądowej otworzono daleko wcześniej niż zwykle; unikano wszystkiego coby mogło nadać tej sprawie rozgłos towarzyszący zwykle znaczniejszym sprawom kryminalnym. Prezydujący porozumiał się pod tym względem z prefektem, trzymającym w ręku całą miejscową prasę, stosującą się pokornie do woli przedstawiciela rządu cesarskiego. Chciano aby wszystko odbyło się prędko, przyzwoicie, i aby to uznanie pomyłki sądowej odbyło się cicho, prawie przy zamkniętych drzwiach. Tak się też stało; zaledwie kilku wieśniaków i kilku robotników drzemało po kątach wielkiej sali.

Prezydujący przeprowadził bardzo szybko badanie Wilczycy, stanowiącem najważniejszą część po siedzenia, ponieważ na niem właśnie opierał się akt oskarżenia, i dowody niewinności Jana Torquenié.

Gdy rozkazano jej powstać i odpowiadać na pytania, zdawało się że nie będzie miała siły mówić i że może nie dożyje do końca sprawy. Głos jej wychodził drżący z pod czarnego kaptura, przysłaniającego większą część twarzy.

Prezydujący pozwolił jej usiąść, i kazał zsunąć kaptur z głowy. Spełniła jego żądanie wolno, niechętnie. Gdy nakoniec odsłoniła głowę, obrzuciła obecne osoby ponurem i pełnem przestrachu spojrzeniem.

Oczy jej spotkały się wtenczas z oczami wpatrującego się w nią pana de Trémeillan, zadrżała i pochyliła lekko głowę na znak że spełni jego wolę, a potem zaczęła mówić silniejszym już i wyraźniejszym głosem.

Pan Rousseau i Armand d'Arçay, którym znane były dokładnie wszystkie szczegóły zbrodni, byli zmuszeni podziwiać rzadką bystrość umysłu i odwagę Wilczycy.

Błagała najprzód o przebaczenie Boga i swego dobrego pana, że obraziła ich tak ciężko. Była bardzo występna; zostawała niekiedy pod władzą złego ducha który ją popychał do popełnienia jakiegoś występku.

Następnie opowiedziała co ją przywiodło do zabicia pana de Mortrée; jakiś głos szeptał jej ciągle w dzień i w nocy, że jeżeli go nie zabije, jakieś nieszczęście spadnie na jej dobrego pana.

Zeznała jakich sposobów użyła aby zwrócić podejrzenie na Jana Torquenié, i wyznała zniżonym głosem, że to ona także otruła Maryannę, gdyż jej się zdawało że żona leśniczego widziała ją gdy wyjmowała karabinek z szafy.

Następnie, po chwili milczenia, złożyła ręce, pochyliła głowę i znów błagała o przebaczenie swego najlepszego pana, za to że obraziła go tak ciężko.

Powiedziała że dręczona wyrzutami sumienia, i przewidując że umrze wkrótce, prosiła dobrego pana d'Arçay, narzeczonego jej młodej pani, aby przyprowadził do niej dwóch urzędników sądowych, którym chce złożyć bardzo ważne zeznanie. Miała najsilniejsze postanowienie powiedzieć im prawdę, wyznać swe zbrodnie, ale gdy przybyli, gdy ich zobaczyła, straciła zupełnie głowę, zły duch znów ją opanował, i mówiła rzeczy całkiem fałszywe, czego teraz żałuje z całego serca. Oskarżyła swego dobrego pana i swoją dobrą panią, która żyła jak święta. Sama to czuje że jest nędznicą, niegodną litości.

Wymówiła te słowa z głośnem łkaniem, co sprawiło dość silne wrażenie na obecnych; tylko pan de Trémeillan nie objawił najlżejszego wzruszenia. Gdy przyszła na niego kolej, podniósł się wolno, zdjął rękawiczki i włożył je w stojący obok niego kapelusz. Wszystkie jego ruchy były spokojne; widać że wytężył wszystkie swe siły aby się utrzymać w raz obranej roli.

Oświadczył, że znał równie jak wszyscy w tych stronach nienawiść jaką pałał ku niemu wice-hrabia de Mortrée, nienawiść głęboką, przekazaną mu jeszcze przez ojca, ale nie przypuszczał nawet ni- gdy, aby ta niechęć mogła kiedyś popchnąć wicehrabiego Marcelina do jakiegoś zbrodniczego zamiaru względem niego. Przesadzona gorliwość i nieograniczone przywiązanie, wprowadziły w błąd Wilczycę, która, jak wszystkim wiadomo, miewa niekiedy napady obłąkania. W czasie swego pobytu w Wandei, była raniona pałaszem w głowę, i od tego czasu bywa często nieprzytomną.

Hrabia wzywa następnie wzruszonym głosem pobłażliwości przysięgłych, dla tej starej i wiernej sługi jego rodziny, i oświadczył że ze swej strony przebacza jej wstrętne kłamstwo, do którego skłoniła ją bojaźń.

— Jakkolwiek żyłem dość samotnie, rzekł nakoniec, znają mnie tu wszyscy równie jak moją rodzinę; wiadomo także wszystkim jaką była ta droga i święta istota, której śmierć pogrążyła mnie w tak ciężkim smutku, że tyle ubiegłych już lat ukoić go nie mogło, sądzę więc ze nie potrzebuję dowodzić że ta nieszczęśliwa skłamała, rzucając na swą zmarłą panią i na mnie tak okropne oskarżenie.

Tu pan de Trémeillan opanowany silnem wzruszeniem, zamilkł i ukrył twarz w chustkę.

Prezydujący uspakaja go, zwraca jego uwagę na to że w akcie oskarżenia nie ma nawet wzmianki o tem zbrodniczem i kłamliwem zeznaniu, które zresztą sama oskarżona uznała następnie za zupełnie fałszywe, i za które publicznie prosiła o przebaczenie.

Zawezwano następnie Jana Torquenié.

Jakkolwiek prezydujący usiłował okazać się równie bezstronnym względem niego jak względem innych świadków, w zapytaniach jego zadawanych byłemu leśniczemu przebijała się jakaś cierpkość.

Widocznie uważał tego biedaka za natręta, poważającego się zmniejszać urok sądownictwa, okazując że i ono także, jak w ogóle wszystkie instytucye ludzkie, może się mylić i powodować się namiętnościami.

Torquenié przypomniał dawne fakta poważnie i spokojnie; żadna skarga nie wyszła z ust jego, nie oskarżał ani sędziego prowadzącego indagacye, który srogiem swem obchodzeniem zmusił go do przyznania się do cudzej zbrodni, ani prezydującego który go znieważył.

Czuł że nadeszła chwila w której krzywda jego będzie wynagrodzoną, i przebaczył szlachetnie. Przedstawił tylko że był zupełnie niewinnym, i że biedna Maryanna stała się ofiarą nikczemnej potwarzy.

— Była to dobra i szlachetna kobieta, rzekł na zakończenie

Po tych słowach wymówionych z ciężkiem westchnieniem, wrócił na swoje miejsce.

Przesłuchano jeszcze paru świadków, których zeznania nie zawierały w sobie nic ważniejszego, a następnie prokurator zabrał głos.

Wnioski jego opierały się wyłącznie na późniejszem zeznaniu Wilczycy. W obec tak dokładnego i wyraźnego przyznania się do winy oskarżonej, nie można się było wahać ani ociągać z wyrokiem przywracającym cześć niewinnemu. Można było mieć tylko pewną wątpliwość co do zastosowania kary. Dwadzieścia lat temu, byłby domagał się aby te występną skazano na śmierć za popełnione przez nią zbrodnie, ale dziś widzi przed sobą blizko ośmdziesięcio-letnią staruszkę, która wkrótce stanie przed sądem Boga, kasującym wszelkie przez ludzi wydane wyroki. Następnie zaś uznał że obwiniona zasługuje na pewne politowanie, a w końcu wyraził, że co do wymierzenia kary,

spuszcza się zupełnie na rozum i sprawiedliwość przysięgłych.

Po tych wnioskach nader umiarkowanych, zwłaszcza w porównaniu z temi jakie dwadzieścia lat temu wygłoszono w tem tamem miejscu przeciwko Janowi Torquenié, zadanie obrońcy obwinionej stało się dość łatwem.

Wychodził z tej zasady że działała pod wpływem egzaltacyi i obłąkania. Przedstawiał ją jako istotę z umysłem nierozwiniętym, wprowadzoną na błędną drogę przez dzikie ale nieograniczone poświęcenie dla pana, i prowadzącą z własnego natchnienia wendetę przeciwko przedstawicielowi rodu nieprzyjaznego hrabiemu de Trémeillan. Błagał o trochę pobłażliwości dla niej. Któż mógł wiedzieć ile przecierpiała przez te lat dwadzieścia, jak straszna zgryzota szarpała jej serce, jak przerażające sny niepokoiły ją w nocy? Stała się występną przez zbytnie przywiązanie do pana, a jakże takie przywiązanie jest teraz rzadkiem! Posunęła do fanatyzmu wypróbowaną wierność swej rodziny, zostającej od czterystu lat w usługach hrabiów de Trémeillan. Popełniła zbrodnię w chwili szału, ale tej chwili występnego obłędu, można przeciwstawić całe życie budującej pobożności i dobroci tej duszy chrześciańskiej, która już od wielu lat przytuliła do siebie małego chłopca, sierotę...

Około godziny trzeciej ogłoszono wyrok.

Anna Żuaneta Poriquet, zwana Wilczycą, została skazaną na dziesięć lat więzienia.

Słuchając wyroku nie drgnęła nawet; siedziała na ławie nieruchoma jak posąg. Żandarmi wyprowadzili ją z sali.

Pan de Trémeillan siedział rozparty w fotelu, w postawie obojętnej, i nie zwrócił nawet oczu na oddalającą się Wilczycę.

W kilka dni później znaleziono Wilczycę martwą w jej celce.

Siedziała na ziemi w kąciku skulona i całkiem okryta swym czarnym płaszczem; w zesztywniałych rękach trzymała jeszcze szkaplerz, który nosiła będąc z panem w Wandei, i przyciskała do niego martwe swe usta.

Pan de Trémeillan nie przeżył jej długo. Po ukończeniu sprawy udał się do Austryi, pod pozorem że chce przedstawić córkę hrabiemu Chambord, rzeczywiście zaś obawiając się aby Armand d'Arçay, gdy nie zezwoli na jego małżeństwo, z Małgorzatą, nie użył przeciwko niemu dowodów jakie posiadał w ręku. Wolałby przepędzić całe życie zdala od kraju, niżeli pozwolić na podobny związek.

Tymczasem, pewnego dnia, wybrał się na polowanie w towarzystwie dwóch głównych doradzców hrabiego Chambord, i upadł tak nieszczęśliwie, że złamał nogę.

W pierwszej chwili sądzono że ten wypadek zmusi go tylko do długiego pozostawania w łóżku, wkrótce jednak przekonano się że złamanie było cięższe jak się zdawało, i że ciało było silnie obrażone. Po kilku dniach wdała się gangrena i odjęcie nogi stało się koniecznem.

Podobna operacya w wieku hrabiego, była bardzo niebezpieczna; pan de Trémeillan stracił zbyt wiele krwi, dostał silnej gorączki, w ciągu której miewał przerażające ataki maligny. Żył po operacyi tylko dwa tygodnie i zakończył życie w strasznych męczarniach.

Biedna Małgorzata powróciła do Francyi i zamieszkała w pałacu d'Albrays, w towarzystwie swej dalekiej krewnej, osoby w podeszłym już wieku, którą wezwała do siebie.

Śmierć ojca nie mogła w niej wzbudzić zbyt silnego żalu, ale te wszystkie wypadki tak silnie nią wstrząsnęły że potrzebowała spokoju.

Nie bywała nigdzie i nie wychodziła nigdy za obręb swego parku. Najdalszym celem jej przechadzki był domek leśniczego, w którym stosownie do jej życzenia, mieszkał Jan Torquenié z córką.

Armand i pani d'Arçay odwiedzali ją często. Nie wspominali nigdy o przeszłości, a wszystkie ich myśli zwracały się w przyszłość.

Nakoniec po upływie roku, ksiądz Dubois połączył młodą parę w pałacowej kaplicy. Ślub odbył się o północy, przed ołtarzem rzęsisto oświetlonym i przybranym kwiatami. Świadkami byli: Andrzej Gérard i Jan Torquenié.

KONIEC.

Opis do N-ru 8.

(Dalszy ciąg.)



N. 4. Sukienka z vêtement. Patrz ryc. 28.

N. 24—26. Puf, poduszka i kołdra haftowana.

Puf odrobiony podług zwykłej wysokości i szerokości, pokryty był pluszem bordo, przybitym szeroką torsadą, ozdobioną włóczkowemi kulkami, z pod której suta frendzla sznelowa spadała na niżej przybitą frendzlę jedwabna. W narożnikach plusz jest przymarszczony i ozdobiony sznurem jedwabnym, frendzlą i sutemi kwastami z jedwabiu i szneli. Poduszka leżąca na pufie, była z pluszu niebieskawo-pawiego koloru, dwie strony przykrycia nie były zwykłym sposobem zeszyte z boków, tylko w równych odstępach łączone kulkami jedwabnemi, a przez otwory wyglądał suflet z atłasu vieil-or. Rycina 26 przedstawia kołdrę z pluszu ciemno-oliwkowego, podszytą pluszem blado-oliwkowym, w około brzegów obłożoną ciemnem futrem, u dołu naszytą czterema 21 c. szerokiemi szlakami, haftowanemi na bobinecie, do których deseń do 1/3 części zmniejszony, dajemy na ryc. 36 w N. 9.

N. 27. Suknia z frakowym stanikiem.

Spódnica i jej garnirunek, składający się z wolantu 10 c. szerokiego i bufy przez środek przemarszczonej, 20 c. szerokiej, zakończony 6 c. szerokiemi nagłówkami, oraz wązkie szalowe upięcie z przodu, zrobione były z surah, zaś tunika i stanik frakowy z adamaszku w duże kwiaty. Tunika z przodu stanowi rodzaj fałdowanego panier, gładko oszytego piękną dżetową frendzlą 10 c. szeroką, z tyłu jest w krótki puf podpięta. Stanik bawetowy z przodu, z tyłu ma długą baskinę frakową, w środku od dołu na 30 cent. długości otwartą, do której trzeba dodać w krajaniu potrzebną na bufy ilość materyału.



N. 1. Żabot z materyi i koronki.



N. 2. Czepeczek z koronki i kwiatów.

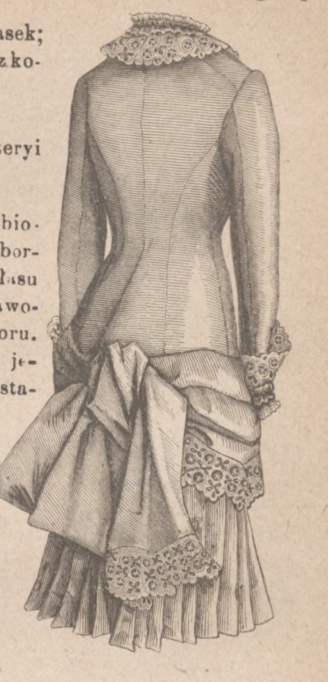


N. 3. Czepeczek z materyi haftowanej.

Wykrój szyi wszyty w wązki pasek; kołnierz i garnirunek rękawów z koronki.

N. 29—30. Ubranie z materyi trojakiego rodzaju.

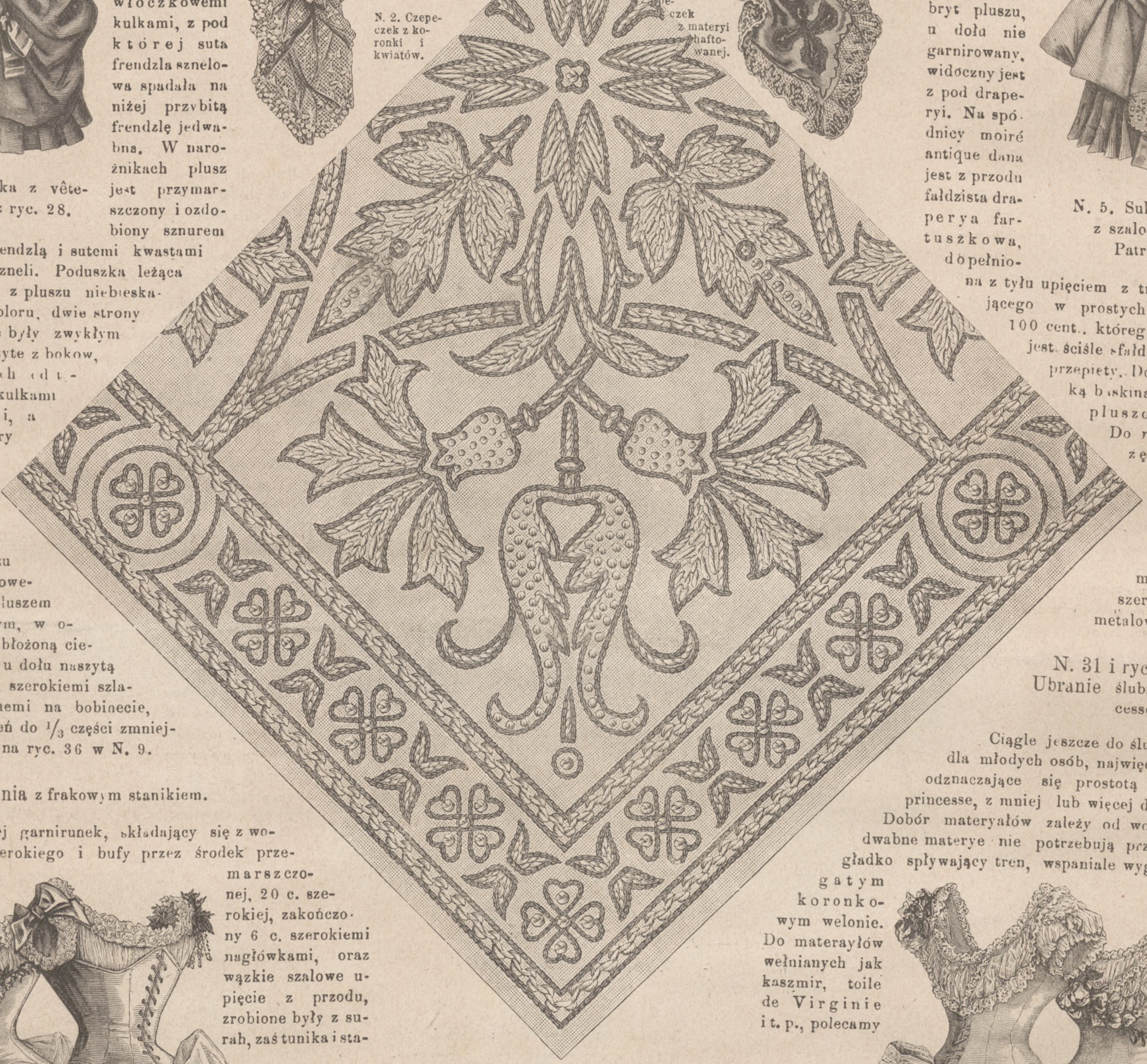
Model odrobiony był z pluszu bordo, oraz z atłasu i mory niebieskawo-pawiego koloru. W spódnicę z jednego boku wstawiony był bryt pluszu, u dołu nie garnirowany, widoczny jest z pod draperyi. Na spódnicy moiré antique dana jest z przodu fałdzista draperya fartuszkowa, dopełniona z tyłu upięciem z trójkąta, trzymającego w prostych brzegach po 100 cent., którego brzeg górny jest ściśle sfałdowany i węzłem przepięty. Do stanika z krótką baskiną dodana długa pluszowa kamizelka. Do rękawów w dwa zęby wyciętych, dodane od spodu pluszowe mankiety. Kokardy ze wstążki morowej 5 cent. szerokiej; guziki metalowe.



N. 5. Sukienka princesse z szalową draperyą. Patrz ryc. 37.

N. 31 i ryc. 28 w N. 9. Ubranie ślubne formą princesse.

Ciągle jeszcze do ślubnego ubrania dla młodych osób, najwięcej używane są odznaczające się prostotą suknie formą princesse, z mniej lub więcej długim trenem. Dobór materyałów zależy od woli; ciężkie jedwabne materye nie potrzebują przybrania, długi gładko spływający tren, wspaniale wygląda przy bogatym koronkowym welonie. Do materyałów wełnianych jak kaszmir, toile de Virginie i t. p., polecamy



N 6. Czwarta część haftu na serwetkę



N. 7. Serwetka haftowana na płótnie.



N. 8—9. Suknia balowa z gorsecikowym stanikiem.



N. 10—11. Suknia balowa z bawetowym stanikiem.



N. 12. Szlak z narożnikiem. Haft płaski, dzierganie i ścieg sznureczkowy.

odrobienie wskazane na ryc. 31, w którem tylne bryty sukni upięte są krótko w małe bufy, na długim od spodu w pas wszytym trenie, a do przodów dodany jest szeroki atłasowy plastron, ułożony w bufki i szerokie drobno przemarszczane pasy. Ryc. 31 i 28 przedstawia także dwa rodzaje dolnego garnirunku. Zobaczyć także ubranie głowy na ryc. 21.

N. 32. Suknia balowa z wysokim z przodu kwadratowo wyciętym stanikiem.

Blado-niebieski atłas, chustka biała koronkowa trzymająca w skośnym brzegu 3 metry 70 cent. i koronka 8 cent. szeroka, służyły do odrobienia tego pięknego ubrania. Spódnica z niezbyt długim kolistym trenem, ogarnirowana z przodu i z boków trzema wązkiemi bufkami, przegradzanemi lekko nadmarszczoną koronką. Na trenie bufki i koronka naszyte do 90 cent. długości; wyżej upięty bryt 110 c. szeroki a 128 długi. Z przodu chustka koronkowa jest w ten sposób upięta, iż obadwa końce schodzą się z tyłu i ułożone są w zręczne pukle z krótkiemi końcami, pomiędzy upięciem brytów tylnych. Z przodu krótkie fałdowane panier zachodzi na koronkę. W stanik z przodu w karo wycięty, wstawiona jest szmizetka 52 c. długa, w górze kilka razy drobno przemarszczona, dalej w 15 cent. długą bufę ułożona, po której następuje znów przemarszczanie i druga bufa 21 cent. długa. Plecy z czterech części złożone wycięte są u dołu w trzy nierównej długości bawety, pod spód



N. 21—22. Ubrania na bal maskowy.

N. 21. Ubranie fryzyjskiej wieśniaczki. N. 22. Kostium damy weneckiej z XVI wieku.



N. 27. Ubranie ślubne.

dodana jest do baskiny pleców krótka bufka, w gérze kilka razy przemarszczona, na której leży krótszy bawet środkowy, boczne dłuższe są w części przykryte koronką. Przody zapięte są z boku pod naszyciem koronki.

N. 34, 19 i 20. Kołnierz kolisty dla małej dziewczynki.

Kołnierzyk złożony był ze wstawek z mignardiski i szerokiej koronkowej tasiemki, połączonych robotą szydełkową. Ryc. 19 podaje w naturalnej wielkości jedną wstawkę, przy której w górze dany brzeżek od drugiej tasiemeczki, dla wskazania w jaki sposób przyrabia ją się szydełkiem. Przez dziurki ostatniej tasiemeczki przewleczony jest kolorowy sznur z kwastami, do związania kołnierzyka, a brzeg górny obrabia się 3—4 razy ząbkami łańcuszkowemi, stanowiącemi koronkę górną. U dołu i z boków przyrabia się koronkę z mignardisse, która na modelu była o 1 cent. szersza od próbki danej na ryc. 20.



N. 14—15. Przy[...] balowej sukni, z kwiatów i [...]zowego.



N. 16. Broszka złota z perłami.



N. 18. Naszyjni[...]y złoty, robot[...]



N. 17. Broszka ze złota i srebra oksydowanego z kameą.

N. 35. Kołnierz prosty dla dziewczynki.

Prosty haftowany muślinowy kołnierz, mający 9 c. przedniej a 7 tylnej szerokości, oszywa się z brzegu wstawką haftowaną lub cerowaną na tiulu, 3 cent. szeroką, zakończoną muślinowym obrębem, do którego przyszyta 9 cent. szeroka imitacya koronki duchesse.

N. 36—37 i 40. Ubranie głowy z krótko upiętemi włosami i chusteczka koronkowa.

Chusteczkę podaną z tyłu i z przodu na ryc. 37 i 40, upina się z trójkąta białej deseniowej gazy, mającego w prostych brzegach po 51 c. długości, a 32 środkowej szerokości, oszytego w koło 8 cent. szeroką nadmarszczoną koronką. Trójkąt obraca się rogiem do przodu, układa w podłużne fałdy, a końce spina z tyłu w ten sposób żeby szyja pozostała odsłonięta. Żabotowe końce przypięte z przodu między koronką, układa się ze skosu gazy 10 c. szerokiego a 22 długiego, któren z brzegów poprzecznych i z jednej strony z brzegu prawego, z drugiej z lewego oszywa się nadmarszczoną koronką, następnie składa nieoszytemi brzegami do środka, a w górze fałduje do 4 cent.



N. 19—20. Kostium Dyjanny i [...]la dziewczynki i chłopczyka.

N. 38—39. Uczesanie i kołnierz chusteczkowy.

Kołnierzyk składa się z paska 50 cent. długiego a 3 szerokiego, oszytego u dołu nadmarszczoną 6 cent. szeroką koronką, która na końcach paska do 8 c. długości naszyta jest wachlarzowo na żabot. Prosty kołnierz mający 11 cent. szerokości a 36 długości, ułożony był na podszewce z tiulu, z blado-niebieskiej surah drobno przemarszczanej, u dołu podwójnym nagłówkiem zakończonej i wszytej między górne brzegi paska. Dwie kokardy ze wstążki 3 cent. szerokiej służą do spięcia kołnierza.

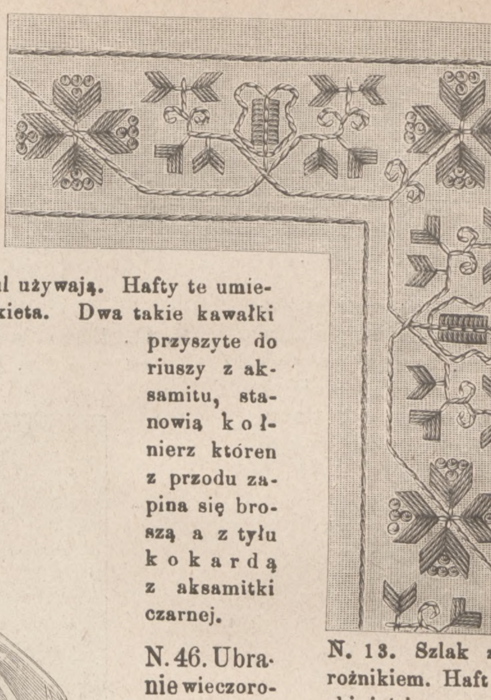


N. 25—26. [...] bal kostiumowy.

N. 25. Kostium dalmacki. Patrz ryc. 43 w N-rze 8. N. 26. Kostium włoski. Patrz ryc. 44 w N-rze 8.

N. 45. Ubranie z kołnierzem i mankietami haftowanemi na płótnie.

Wszędzie u wód w Czechach dostać można ładnych haftów, robionych na cienkiem płótnie bawełną białą i kolorową, ściegiem płaskim, wyrabianych przez kobiety i dziewczęta z Eger, które ich do ozdoby koszul używają. Hafty te umiejętnie ozdobione aplikacyą z koronki, są zwykle wielkości wysokiego mankieta. Dwa takie kawałki przyszyte do riuszy z aksamitu, stanowią kołnierz któren z przodu zapina się broszą a z tyłu kokardą z aksamitki czarnej.



N. 13. Szlak z narożnikiem. Haft płaski i ścieg sznureczkowy.

N. 46. Ubranie wieczorowe ozdobione haftem.

Zupełnie czarne ubranie odrobione było z ciężkiego jedwabnego atłasu. Stanik z bawetem z tyłu sznurowany, oszyty był u dołu haftowanym szlakiem i szeroką bufą z czarnego jedwabnego tiulu. Krótkie bufowane tiulowe rękawki zdobiły agrafy haftowane. Riusza z koronki i piór zastępowała bertę; przy panier i rękawkach frendzla z drobnego dżetu. Biżuterya dżetowa, długie czarne jedwabne rękawiczki.



N. 23—24. Ubrania na bal kostiumowy.

N. 23. Kostium „Hawanna" stosowny dla brunetki. N. 24. Kostium „Nereida" stosowny dla blondyny.

Opis do N-ru 9.

N. 1. Żabot z materyi i koronki.

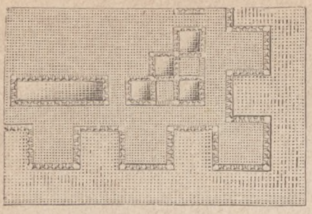
Potrzeba na niego skośnego kawałka materyi surah, 48 cent. długiego i 30 szerokiego, oszytego koronką 6 cent. szeroką; układa się na kawałku sztywnego tiulu w ten sposób iż jeden koniec oszyty koronką wysunięty jest na 13 cent. długości, ze środkowej części złożony jest pukiel a drugi koniec przemarszcza się kilkakrotnie w odstępach 4 cent. podług ryc. 1. Węzeł dany z oddzielnego kawałka.

N. 2. Czepeczek z koronki i kwiatów.

Podstawę stanowi trójkąt sztywnego tiulu, którego boki liczą po 12 c., a brzeg prosty tylny 19 cent. długości; ku twarzy dane dwa rzędy 6 c. szerokiej koronki bardzo mało namarszczonej wysuniętej stopniowo,



N. 28. Ubranie ślubne. Patrz ryc. 31 w N-rze 8.



N. 29. Szlaczek „point d'armes, do ryc. 35.

między którą wsunięta jest girlanda z róż. Denko spadające na włosy, stanowi kawałek deseniowego tiulu, ścięty w ząb do dołu, oszyty z brzegów koronką i spięty w kontrafałdę.



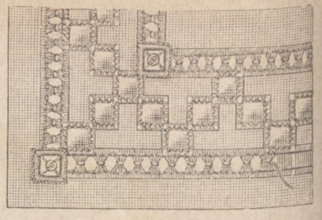
N. 31. Litera do chustki od nosa ryc. 35.



N. 33. Cyfra zdobna jaskółką do ryc. 34—35.



N. 32. Litera do chustki od nosa ryc. 35.



N. 30. Szlaczek do chusteczki ryc. 35.

N. 4 i 38. Sukienka z vêtement dla dziewczynki.

Do spódniczki zakończonej falbaną układaną w kontrafałdy i ozdobionej przemarszczaniem z materyału w pasy, dodane vêtement z marszczonym kołnierzem i mankietami atłasowemi. Na ryc. 38 widzimy z przodu strojną sukienkę z aksamitnem vêtement. Przody dopełnione są i spięte szerokim paskiem, plecy zaś są założone w kontrafałdę, a na wcięciu stanu drobno przemarszczone podług ryc. 3, na 12 c. wzdłuż. Z boków na podpięciu dane kokardy.



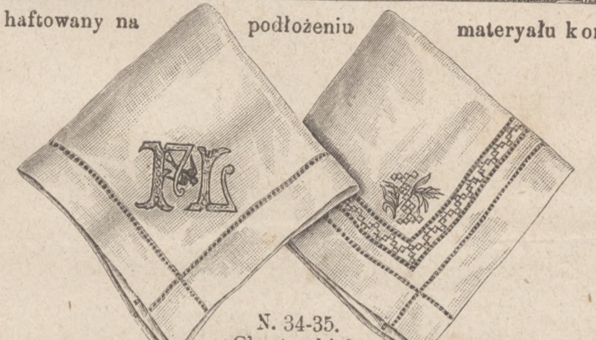
N. 36. Szlak haftowany na podłożeniu materyału koronkowego.



N. 37. Sukienka princesse z draperyą. Patrz ryc. 5.

N. 3. Czepeczek z haftowanej materyi.

Denko upięte z trójkątnej chusteczki atłasowej koloru vieil-or, liczącej z brzegów bocznych 47 c. długości, haftowanej ponsowym cieniowanym jedwabiem i nitką złotą, oszytej z brzegów walencienką 2 cent. szeroką, wywodzoną kolorowo. Podstawę stanowi trochę zaokrąglony pasek sztywnego tiulu, w środku 7, w końcach 2 c. szeroki, u góry 30 u dołu 23 cent. długi, przykryty lekko sfałdowanym skosem ciemno-ponsowego aksamitu, 15 cent. szerokim. Chusteczka upięta jest w ten sposób, iż skośny jej brzeg zachodzi trochę na aksamit z przodu, z tyłu zaś układa się podług ryc. 3.



N. 34-35. Chusteczki do nosa. Patrz r. 29—33.



N. 39. Poduszka do kanapy. Haft złotem. Patrz ryc. 40.



N. 38. Sukieneczka z vêtement. Patrz ryc. 4.

N. 5 i 37. Sukieneczka princesse z draperyą.

U dołu na długość dopełniona jest plisowaniem 28 cent. szerokiem, a wzdłuż przodów ma plisowany plastron, 12 cent. szeroki, przemarszczony drobniutko w pasie.

(D. n.)



N. 40. Haft złotem na poduszkę do kanapy ryc. 39. Czwarta część deseniu.